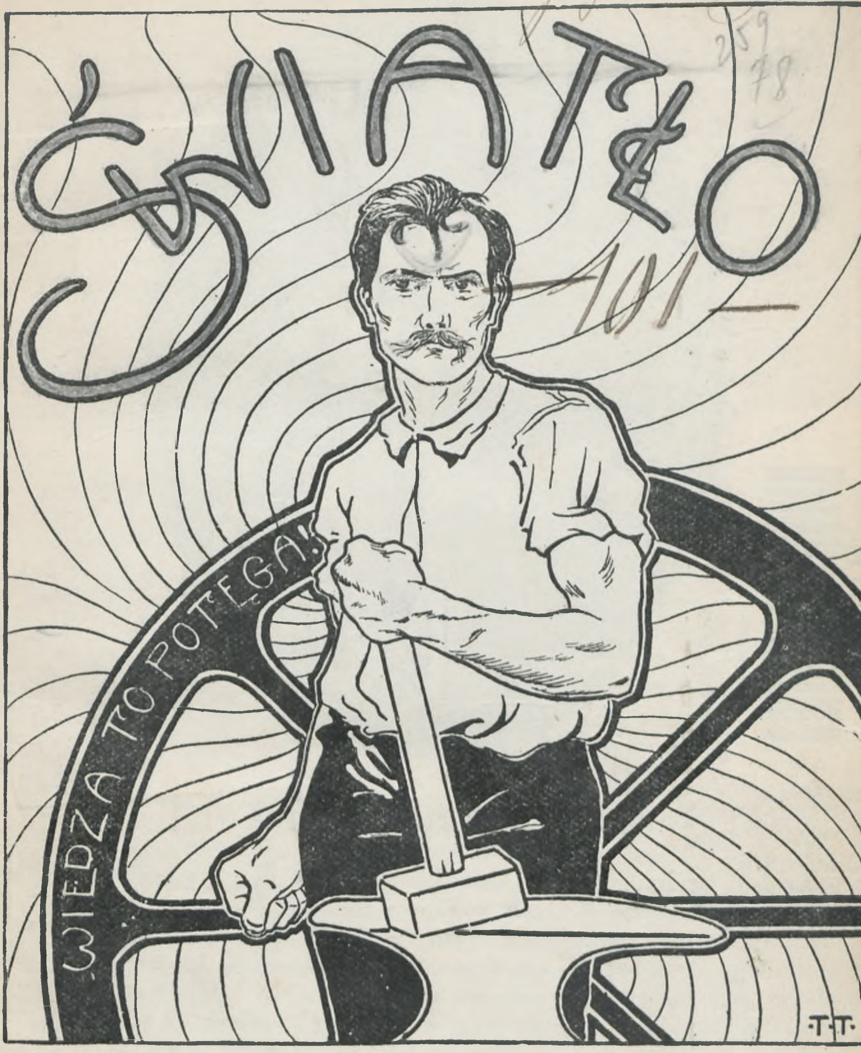
Rok drugi 1899.



CZASOPISMO POPULARNO-NAUKOWE

ORGAN POLSKIEJ PARTYI SOCYALISTYCZNEJ

wychodzi raz na kwartał.

Adres redakcyi i administracyi :

Józef Kaniowski, 67 Colworth Road, Leytonstone, London N. E.

LONDYN

Z DRUKARNI POLSKIEJ PARTYI SOCYALISTYCZNEJ



STANISŁAW KUNICKI

Powstanie 63 r. upadło pod przemagającemi siłami najezdcy, pozostawiając za sobą głębokie zmiany w kraju. W skutek uwłaszczenia chłopów z jednej strony powstały masy niezależnych włościan-właścicieli wolnych od pańszczyzny. Polepszyło się ich położenie społeczne, podniósł dobrobyt. Z drugiej strony zniesienie pracy daremnej odbiło się na samym sposobie prowadzenia gospodarstwa rolnego. Musiano zaprowadzić gospodarstwo bardziej postępowe i starać się za pomocą nowych narzędzi i maszyn powetować zniesioną pańszczyznę. Położenie ekonomiczne szlachty, opierające się dotąd na pańszczyźnie, zostało silnie zachwiane. Praca najemna zapanowała na wsi. Jednocześnie z temi przeobrażeniami na wsi rozwija się w naszym kraju przemysł: wzrastają już istniejące miasta i osady fabryczne oraz powstają nowe. Sieć kolei, łatwy zbyt w kraju i w Rosyi, tanie ręce robocze, przypływające ze wsi, sprzyjają temu, i nastaje czas szybkiego rozwoju przemysłu.

Potęga szlachty, jako klasy zajmującej pierwsze i główne miejsce w narodzie, została złamana. Obok niej powstają nowe klasy, nowe

siły społeczne, które rozwój ekonomiczny kraju rodzi i umacnia. Wzrastają w liczbę, w siłę i znaczenie bogaci fabrykanci i przedsiębiorcy, wyłaniają się liczne rzesze robotników miejskich, nabierają znaczenia masy włościańskie.

W dążeniach społeczeństwa zachodzą głębokie zmiany. Lepsze, ofiarne jednostki — kwiat narodu — zginęły na polu bitew lub popędzone zostały do kopalń Sybiru i na zsyłkę. Warstwy społeczne, które dotąd prowadziły i przewodziły w naszych porozbiorowych walkach o wolność, schodzą na drugi plan, a nowe dopiero się rodzą, nieświadome jeszcze swej roli przyszłej i siły, — to też społeczeństwo nasze opanowuje w owe czasy przejściowe zupełna niewiara w swe własne siły, upadek ducha i jakaś grobowa martwota pod względem politycznym. Dawne programy zdobycia wolności kraju z orężem w ręku — odrzucono, jako niewykonalne, a sama walka orężna z silniejszym wrogiem zaczyna być uważaną za bohaterskie wprawdzie i pełne sławy, ale — bezowocne szamotanie się, pociągające za sobą niezmierną ilość ofiar, ruinę kraju i jeszcze cięższy, jeszcze sroższy ucisk najezdcy. Na miejsce dawnych zjawia się nowy program : pracy organicznej, głoszący, żeśmy się powinni wyrzec marzeń o niepodległości kraju a przedewszystkiem i stanowczo zaniechać walki orężnej o nią — za to zabrać się wszystkiemi siłami do pracy nad pomnożeniem bogactwa narodowego, nad rozwojem przemysłu, wzmożeniem handlu, nad podniesieniem kultury, nauki i sztuki i nad szerzeniem oświaty. Program ten, postawiony przez młode pokolenie postępowców, zwolna ogarnia naszą literaturę i dziennikarstwo i zapanowuje w młodem popowstaniowem pokoleniu. Całe społeczeństwo pod zaborem rosyjskim wyrzeka się zupełnie wszelkich dążeń politycznych.

Wkoło nas jednak, w innych krajach budziło się nowe życie i nowe dążenia, powstawała nowa wielka potęga, wielka jak ludzkość cała, silna jak żądza szczęścia ; potęga, co ludy ma zawieść na gody sprawiedliwości, równości, na gody szczęścia i pokoju. Nową tą potęgą były hasła socyalizmu, które skupiać zaczęły klasę robotniczą do walki o „jutro świata“.

We Francyi wybuchła komuna. W Niemczech socyalna demokracya rośnie szybko i staje się siłą, przeciwko której wystraszony rząd ucieka się do praw wyjątkowych. W Rosyi — w tym wielkim domu niewoli — bohaterska młodzież porywa się do nierównej walki z caratem. W innych krajach również powstają partye socyalistyczne.

Młodzież nasza, wyjeżdżając na studya do uniwersytetów bądź to zagranicę, bądź do Rosyi, spotykała się z tymi nowymi prądami umysłowymi i z nowemi partyami politycznemi. Wrażliwsze jednostki z pośród młodzieży naszej szybko przejmowały się zasadami nowej nauki. Widzieli oni, że w kraju naszym jak i gdzieindziej z rozwijającego się przemysłu i gromadzących się bogactw narodowych korzystają jedynie klasy wyższe, a ci, którzy te bogactwa wytwarzają, to jest rzesze robotnicze, pozostają po dawnemu w nędzy i ciemnocie. Spostrzegli oni, że w tych właśnie masach tkwi przyszłość naszego raju i postanowili poświęcić im całą swą duszę i całą swą działalność.

Z takich to zwolenników nowej wiary społecznej lub pod ich wpływem powstały pierwsze kółka socyalistyczne w Warszawie. Kółka te rozpoczynają działalność swoją od propagandy zasad socyalizmu wśród młodzieży i robotników. Próbowano szerzyć nowe zasady na wzór towarzyszy innych krajów. Na wzór rosyjskich towarzyszy i nasi pierwsi socyaliści uczyli się rzemiosł, by mieć łatwiejszy dostęp do robotników, a niektórzy wstępowali do fabryk, by tam wyszukiwać odpowiednie jednostki i zakładać tajną organizacyę dla obrony interesów klasy robotniczej. Na wzór zachodnio-europejskiego ruchu probowano zakładać kasy oporu, organizować strejki lub dopomagać robotnikom podczas ich starć z majstrami i fabrykantami. Probowano nawet zakładać warsztaty kooperacyjne. Niektórzy probowali szerzyć socyalizm na wsi pomiędzy chłopami. By ułatwić propagandę, przystąpiono do wydawania książek i broszur zagranicą.

Wszystkie te jednak pierwsze kroki były tylko próbami wyszukania dróg i sposobów, które miały posłużyć do przyciągnięcia mas robotniczych pod nowy sztandar. Sami przywódcy ówcześni u nas nie mieli jeszcze jasno wytkniętej drogi : ścierały się wśród nich pojęcia, zaczerpnięte z ruchu rosyjskiego, z pojęciami, przyniesionemi z zachodu Europy. Byli wśród nich przedstawiciele rozmaitych kierunków socyalizmu, i anarchiści swojego rodzaju i zwolennicy Lasala. Pod względem organizacyjnym były to rownież pierwsze dopiero próby : jedni chcieli mieć organizacyę zupełnie luźną, inni zapatrywali się na dawne patryotyczne organizacye spiskowe. To też pierwsze owe kółka nasze nie dały trwałych rezultatów ; po każdych większych aresztowaniach (pierwsze miały miejsce 1878 r.) zmieniał się program, zmieniał się rodzaj organizacyi, a ruch wciąż ograniczał się do grup i kółek, zajętych prawie wyłącznie propagandą. Dopiero kiedy powstała organizacya „Proletaryat“, ruch przybiera większe rozmiary i ogarnia szerokie masy. Jednym z wybitniejszych członków „Proletaryatu“ był Stanisław Kunicki.

* * *

Stanisław Kunicki, syn lekarza, urodził się dnia 1 czerwca 1861 roku w Tyflisie na Kaukazie. Pierwsze nauki pobierał w domu, a później w tyfliskiem gimnazyum filologicznem, które ukończył chlubnie ze srebrnym medalem. Po ukończeniu gimnazyum wstąpił do Instytutu dróg i mostów w Petersburgu.

Naturę Stanisław miał tkliwą i entuzyastyczną, łatwo podlegającą szlachetnym uniesieniom i niezmiernie wrażliwą na cudzą niedolę ; był przytem nadzwyczaj żywego temperamentu. Na szkolnej ławie odczuwał wszystkie wady urządzenia szkół rosyjskich i nieraz wzdychał za tem, by spotkać jakiegoś nauczyciela, człowieka w prawdziwem tego słowa znaczeniu, który by był jego kierownikiem i zarazem przyjacielem. Z kolegami urządzał Kunicki zebrania dla wspólnych czytań i rozpraw.

W Petersburgu wziął odrazu czynny udział w życiu studenckiem, w zakładaniu czytelni, kasy, kuchni studenckiej, niósł pomoc kolegom i t. p. Lecz wkrótce Stanisławowi przestała już wystarczać filantro-

pijna i kulturalna praca wśród grona kolegów, spogląda on szerzej na zadania i potrzeby działalności dla całego społeczeństwa, ulega wpływowi ruchu rewolucyjnego, wstępuje do tajnego kółka, które istniało w Instytucie, i staje się członkiem rosyjskiej partyi „Narodnaja Wola“ (Wola Ludu).

Nie mamy tu miejsca na to, by opowiadać historyę sławnej partyi „Narodnaja Wola“. Nie możemy dziś rozwodzić się nad bohaterską jej walką i nad przyczynami upadku tej partyi. Dość będzie na teraz, gdy powiemy, że „Narodnaja Wola“ stanęła oko w oko do boju z caratem, prowadziła walkę terorystyczną za pomocą zamachów na cara i dygnitarzy, cara zabiła, rząd wystraszyła i osłabiła. Ale — upaść musiała, bo w ciężkiej walce nie podtrzymał jej lud rosyjski, zahukany i ogłupiony długimi wiekami niesłychanie srogiej niewoli.

Kiedy jednak Kunicki przyjechał do Petersburga, „Narodnaja Wola“ była jeszcze w pełnym rozwoju, zamach następował po zamachu. Siła i znaczenie partyi wzrastało. Nadzieje na „Komitet Wykonawczy“ tej partyi i sympatye dla jego działalności ogarniały szerokie koła. Stanisław z całym zapałem rzucił się do pomagania rosyjskim rewolucyonistom. Z Polski dochodziły go wieści o budzącym się ruchu socyalistycznym, ale był to ruch jeszcze bardzo słaby, niepewny swych dróg, obejmujący niewielką ilość jednostek. A tu w Rosyi pod wpływem zamachów bohaterskich ogarniał ludzi zapał i nadzieja szybkiego zburzenia caratu. „Dopomóżmy najprzód rosyanom do zniesienia despotyzmu, a potem na jego gruzach odbudujemy socyalistyczną i wolną Rosyę i Polskę“ — tak wierzył Hryniewiecki, który rzucił bombę carowi pod nogi, tak wierzyło wtedy wielu, takie też przekonanie miał Kunicki na początku swej działalności rewolucyjnej.

Probował on zajmować się propagandą wśród robotników petersburskich, próby te jednak nie przyniosły poważniejszych rezultatów i o mało nie skończyły się aresztowaniem Kunickiego. Dopomagał towarzyszom rosyjskim, o ile mógł, w ich robocie spiskowej, przyczyniał się do urządzenia tajnych drukarń, wyszukiwał i pozyskiwał ludzi, zajmował się przechowywaniem i rozpowszechnianiem wydawnictw, zbieraniem pieniędzy i t. p. A jednocześnie nie przestawał pracować nad sobą, by zaprawić się do tajemnej spiskowej roboty i zahartować charakter, wyrobić ostrożność; odwagę zaś i lekceważenie niebezpieczeństwa posiadał wrodzone.

Tymczasem nadszedł 13 marca 1881 r., dzień, w którym „Narodnaja Wola“ zgładziła Aleksandra II ze świata. Dzień ten, który był świadkiem chwilowego tryumfu partyi rewolucyjnej nad potęgą caratu, był zarazem początkiem upadku „Narodnoj Woli“. Rząd rzucił się z niesłychaną wściekłością na wszystkie jednostki, podejrzane o sprzyjanie rewolucyonistom. Masowe aresztowania zachwiały organizacyę, a zdrada ją dobiła. W tym to bowiem czasie przyjeżdża do Petersburga Degajew. Przyjaciel i kolega Kunickiego z Instytutu, był on przedtem wybitnym członkiem partyi „Narodnaja Wola“ i przyjmował żywy udział w pracy partyjnej. Kiedy go jednak aresztowano i zagroziła mu kara śmierci, człowiek ten, słabego charakteru

i nikczemnych popędów, zdradził swoich, za co został wypuszczony na wolność i stał się ajentem policyi.

W skutek rozluźnienia organizacyi Degajewowi udało się zachować w tajemnicy swą zdradę i rolę ajenta policyjnego oraz pozostać nadal w szeregach rewolucyonistów na wybitnem stanowisku partyjuem. Zdołał on już wydać wielu towarzyszy i zniszczyć organizacye na południu Rosyi — a teraz udał się na północ, do Petersburga, by wydać w ręce policyi pozostałe siły partyi. Jako człowiekowi znanemu w kołach rewolucyjnych i uchodzącemu za dzielnego członka partyi, łatwo mu było przeniknąć do organizacyi petersburskiej. Zjawił się on i do Kunickiego, jako do dawnego kolegi, odnowił dawny stosunek i wkrótce doniósł o nim Sudiejkinowi. Degajew miał jednak w swoim charakterze i żyłkę awanturniczą, tworzył przeto czasami na spółkę z ówczesnym szefem policyi, Sudiejkinem, plany zagarnięcia władzy w swoje ręce i do tych planów potrzeba mu było, by przynajmniej część zdecydowanych, energicznych i oddanych sprawie towarzyszy ocalała. Bywały więc chwile, że, donosząc na kogoś do policyi, uprzedzał jednocześnie zadenuncyowanego o grożącym mu areszcie i starał się wyprawić go zagranicę. Ten los spotkał i Kunickiego, który zmuszony był ukryć się przed pościgiem policyi i wyjechał zagranicę.

Już w 81 r. Kunicki wstąpił do organizacyi polskiej w Petersburgu. Towarzysze polacy przekonali go, że, aby zapewnić zwycięstwo rewolucyi, trzeba dla niej pozyskać masy ludu, i że ten obowiązek względem polskich klas pracujących leży na nas, socyalistach polskich. Kunicki odtąd starał się nieść usługi i rosyjskiej i polskiej organizacyi. Petersburska organizacya studentów polaków zajmowała się głównie przygotowaniem i wyrobieniem wśród młodzieży przyszłych działaczy, dla roboty socyalistycznej w kraju, w Polsce. Oprócz więc miejscowej roboty petersburskiej, sprowadzała z Warszawy broszury, wydawnictwa i pisma socyalistyczne i nawiązywała stosunki z organizacyą warszawską.

W Warszawie właśnie podówczas powstawała socyalistyczna organizacya partyjna pod nazwą „Proletaryat“ Organizacya „Proletaryat“ składała się z centralnych kółek robotniczych, t. zw. Komitetów Robotniczych, które miały kierować ruchem robotniczym danej miejscowości. Z początku istniał taki komitet tylko w Warszawie, on to ogłosił w 1882 r. program partyi.

W lutym 1883 r. partya występuje energicznie w obronie robotnic, które, na mocy rozporządzenia oberpolicmajstra warszawskiego, miały podlegać rewizyi lekarskiej na równi z prostytutkami. Rząd się uląkł postawy, jaką przybrali robotnicy warszawscy pod wpływem odezwy partyi, i rozporządzenie cofnął. Było to pierwsze zwycięstwo proletaryatu polskiego nad rządem carskim. Organizacya odtąd szybko się rozwija i rośnie w siłę. Przyłączają się do niej grupy polaków, zorganizowane po uniwersytetach rosyjskich. Wraz z innymi i Kunicki wszedł do organizacyi. Zostają utworzone miejscowe komitety robotnicze w Łodzi, Zgierzu, Białymstoku, a nad nimi ustanawia się Komitet Centralny, który ma kierować działalnością partyi. Zostaje założona tajna drukarnia, która drukuje tysiące odezw. Powstaje wreszcie

tajne pismo „Proletaryat“ jako organ partyjny, którego pierwszy numer wyszedł 15 września 1883 roku.

Kunicki, po wyjeździe zagranicę, lato przesiedział we Wrocławiu, by dać policyi czas zapomnieć o sobie. Trzeba było wtedy, z powodu praw wyjątkowych przeciwko socyalistom, zaprowadzonych w Niemczech, przemycać broszury i pisma ze Szwajcaryi do Niemiec, transportować je do Wrocławia, gdzieśmy mieli skład, a stamtąd wysyłać nad granicę i znowu przemycać do Kongresówki. Otóż ten posterunek wrocławski poruczono Kunickiemu dla prowadzenia i zorganizowania transportów; prócz tego wydostawał on paszporty. Jednocześnie zaś zaznajamiał się bliżej z ruchem niemieckim. Pobyt Kunickiego we Wrocławiu był tylko czasowym, po paru miesiącach wrócił on do kraju, by zająć miejsce w szeregach „Proletaryatu“. Początkowo osiedlił się w Wilnie i organizował t. zw. biuro paszportowe, zajmujące się fabrykowaniem kopii paszportów dla użytku towarzyszy, którym przemieszkiwanie za własnym paszportem stało się niemożliwem.

W Petersburgu tymczasem Degajew został zdemaskowany i obiecał dopomódz do zabicia Sudiejkina. Sudiejkina zabito, a Kunickiemu powierzono wywieść Degajewa zagranicę. Kiedy się znaleźli sami w hotelu w Wilnie, Degajew rozpłakał się, wspominając, że ten sam Kunicki, którego on zadenuncyował przed Sudiejkinem, teraz ratuje go przed pościgiem policyi carskiej, pragnącej na Degajewie pomścić zabójstwo Sudiejkina. Cała masa sprzecznych i nieprzyjemnych uczuć opanowała Kunickiego przy tej scenie. Postarał się jak najprędzej odprowadzić i przeprawić Degajewa za granicę, i swobodniej odetchnął, kiedy statek odpłynął z portu libawskiego, uwożąc na zawsze z Rosyi człowieka, który tak smutną rolę odegrał w ruchu rosyjskim.

Wkrótce potem Kunicki postanowił przenieść się do Warszawy. Waryńskiego, Płoskiego i innych pochłonęły mury cytadeli; trzeba było nowych sił i nowych ludzi. Organizacya warszawska poruczyła Kunickiemu cały szereg spraw do załatwienia w Paryżu. Praktyka pokazała, że drukarnia krajowa mogła przy ówczesnym stanie ruchu zaledwie zadowolnić chwilowe i bieżące potrzeby, — postanowiono więc założyć za granicą stale i regularnie wychodzące pismo i skupić przy niem jak największą ilość sił z emigracyi.

Była i druga rzecz do załatwienia, mianowicie ustanowienie wyraźnego organizacyjnego stosunku do „Narodnoj Woli“. Teraz, po usunięciu Sudiejkina i Degajewa — zdawało się — organizacya rosyjska wzmocni się na nowo, ruch się ożywi i nastąpi nowy szereg zamachów, groźniejszy od pierwszego; chodziło więc o jasne określenie stanowiska polskiej partyi względem ruchu rosyjskiego. Jednak stan ruchu rosyjskiego był w owej chwili taki, że przewódców jego trzeba było szukać na emigracyi, zwłaszcza w Paryżu.

Kunicki więc znowu wyjechał zagranicę i w Paryżu wybornie się wywiązał z powierzonych mu zadań. Powstało nowe pismo: „Walka Klas“, jako organ teoretyczny partyi „Proletaryat“, a „Przedświt“ przemieniono w pismo popularne dla robotników. Z „Narodną Wolą“ została zawarta umowa, określająca wzajemny stosunek obu partyi.

Przy Komitecie Centralnym „Proletaryatu“ znajdować się miał stale delegat Komitetu Wykonawczego „Narodnoj Woli“. Na delegata tego naznaczono Kunickiego.

Po powrocie z Paryża Kunicki bierze czynny udział w życiu organizacyjnem w Warszawie. Zapoznał się bliżej z warszawskimi robotnikami, a znajomość z nimi wpłynęła nań silnie. Niewiara w lud pracujący, jaką wywiózł z Petersburga, sprawiała mu nieraz bólu wiele i napełniała serce rozpaczą. Warszawa go wyleczyła z tego zupełnie. Żartował sobie nieraz że w Petersburgu i przebierać się trzeba było w strój prosty, idąc do robotników, i odpowiednich zwrotów i wyrażeń dobierać, by być jako tako zrozumianym, a tymczasem warszawscy robotnicy i ubrani byli nieraz porządniej od niego, i umysł swój musiał podnosić i rozwijać, by na wszystkie pytania sumienną dać odpowiedź. A przytem on, wyrobiony konspirator, widział tu u robotników wprawy dużo i wyrobienia, widział poświęcenie bez granic i oddanie się sprawie, to też zwykle kończył swe rozmyślania wnioskiem: „z takim ludem możemy się nietylko na carat targnąć, ale ziemię z posad ruszyć“.

To też „Rudy Grzegorz“, jak przezywano Kunickiego, pracował w Warszawie za dziesięciu, chodził na zebrania, pomagał w redakcyi „Proletaryatu“, organizował zamachy na szpiegów i zdrajców, którzy byli niebezpiecznymi dla organizacyi. Nic wtedy nie było dlań za trudne; otaczający go nabierali otuchy i zapału, słabi silniejszymi się stawali, i ruch się ożywił.

Niestety, ten czas najpiękniejszy i najpłodniejszy w owoce niedługo miał trwać dla Stanisława. W kwietniu 1884 r. aresztowano Zagórskiego, który po pewnym czasie dostał obłędu w cytadeli i począł opowiadać żandarmom, co mu chory umysł nasunął. Nastąpiły masowe areszty, a wraz z innymi i za Kunickim zawarły się wrota cytadeli.

Jeszcze w Petersburgu zdawał on sobie sprawę z losu, jaki go oczekiwał: „co najwyżej nas powieszą“ — mawiał wtedy, a on za sprawę ludu pracującego „gotów był oddać ostatnią krwi kropelkę“ — jak oświadczył swym sędziom na procesie.

Nastąpiły długie miesiące więzienia, śledztwa i procesu, które Kunicki znosił ze spokojem, i nie ugiął się przed inkwizycyjnym sądem carskim. Na swych inkwizytorów sprawiał tak silne wrażenie, że przy badaniu Kunickiego na żądanie prokuratora usunięto z sali krewnych podsądnych, jedyną publiczność, jaka była na procesie, obawiano się bowiem dobrego wrażenia, jakie mógł sprawić na publiczności, i jego ostrych, namiętnych wyrażeń.

Kiedy mu zabroniono zadawać zapytania świadkom i wtrącać się do śledztwa, na następne posiedzenie sądu nie przyszedł i powrócił tam dopiero wtedy, gdy prezes przez obrońców go zapewnił, że nadal mu w niczem nie będzie przeszkadzał. Adwokat, narzucony mu wbrew jego woli, odeski kauzyperda Horodecki, począł pleść nonsensy, Kunicki protestował przeciwko temu, aż wreszcie formalnie go się zrzekł i prosił, by odebrano Horodeckiemu głos.

Podczas badania Stanisław wykazywał sztuki żandarmskie, sam przyznawał się do swych czynów i, o ile mógł tylko, starał się brać winę innych na siebie. Ostatnie słowo swoje na sądzie zwrócił do sędziów, by im zaznaczyć, że się zupełnie solidaryzuje z partyą „Narodnoj Woli“, która dokonała zamachu 13 marca, bo to była nie zbrodnia, a spełnienie świętego obowiązku. „Sądzić nas możecie, możecie i osądzić — zakończył swe przemówienie — my umrzemy z poczuciem spełnionego obowiązku!“

Nareszcie komedya sądowa skończyła się. Sędziowie chcieli skazać na śmierć tylko jednego Kunickiego, ugięli się jednak przed wolą Hurki i ogłosili zgóry przezeń ułożone wyroki, które, po ostatecznem zatwierdzeniu, skazywały na śmierć przez powieszenie: Piotra Bardowskiego, Stanisława Kunickiego, Michała Ossowskiego i Jana Pietrusińskiego, a resztę towarzyszy na długie lata katorgi. Przez 40 dni pozostawiono skazanych w niepewności, czy wyrok zostanie złagodzony czy nie. Jeden tylko Kunicki nie miał żadnej wątpliwości co do losu, jaki go czekał, i przesłał ostatnie swe słowo z cytadeli, list z 23 grudnia 1885 r. List ten, wydrukowany w broszurze „Z Pola Walki“ (str. 172), rozszedł się wśród tysięcy robotników polskich, budząc otuchę do walki i krzepiąc ducha.

Dnia 28 stycznia 1886 r. stało się zadość woli carskiej. Na stokach cytadeli warszawskiej wczesnym rankiem, w mroku, stracono Kunickiego i trzech towarzyszy.

Po dziesięciu latach, w roku 1896, delegacya polska na międzynarodowym socyalistycznym kongresie londyńskim ogłosiła dzień ten śmierci męczeńskiej Kunickiego za święto żałoby i nadziei dla całego proletaryatu polskiego. W hołdzie, oddawanym pamięci Kunickiego, łączą się świadomi robotnicy nasi na całym obszarze ziem polskich; z drzewa szubienic warszawskich stanęła kolebka dla przyszłej wolnej i nierozdzielnej Polski socyalistycznej.

Al. Dębski.

POWSZECHNE UZBROJENIE LUDU

We wszystkich państwach europejskich, z wyjątkiem Szwajcaryi, istnieją dziś armie stałe. Wojsko wszędzie jest czemś zupełnie odrębnem od ogółu ludności, od ludzi cywilnych. Służba wojskowa jest osobnem zajęciem, specyalnością — dla ogółu żołnierzy na kilka lat, dla oficerów i podoficerów często na całe życie. Już sam mundur wyróżnia dzisiaj żołnierza od człowieka cywilnego. Jednak nie zawsze tak było.

W pierwotnych hordach dzikich plemion, gdzie ludzie nie dzielili się na klasy, a wszyscy byli wolni i równi, każdy mężczyzna był żołnierzem, umiał władać bronią i brał udział w wyprawach wojennych. Ma się rozumieć, ludzie starsi, bardziej doświadczeni i zdolniejsi byli przewódcami, ale specyalistów wojskowych, ani też wogóle specyalnego

wojska nie było. Każdy żołnierz, to jest każdy mężczyzna, musiał, ma się rozumieć, obok zajęć wojennych pracować na życie : polować, pilnować trzód i t. p. O prostą broń, jaką wówczas znano, łatwo było każdemu ; każdy więc mężczyzna broń posiadał. Jednem słowem, istniało wtedy powszechne uzbrojenie ludu.

W cywilizowanych społeczeństwach starożytnych, u greków i rzymian, widzimy już co innego. Społeczeństwa te opierały się na pracy niewolników. Wolność i równość powszechna już znikły. Ale i tam przez długi czas przynajmniej każdy wolny mężczyzna pełnił służbę wojskową. Powszechnego uzbrojenia ludu nie było, bo niewolnicy byli wyłączeni z praw i obowiązków służby wojskowej. Jednak armii stałej, zebranej w koszarach, też jeszcze nie było, bo przez długie wieki każdy wolny rzymianin czy grek szedł do wojska wtedy tylko, gdy trzeba było bronić kraju lub napadać na sąsiadów. Różnica między wojskowym a cywilnym nie istniała, była różnica tylk, między wolnym a niewolnikiem.

I na początku wieków średnich przez długi czas widzimy, że główną część siły wojennej stanowiło pospolite ruszenie ludu, do którego należeli najpierw wszyscy ludzie wolni, a potem tylko ludzie wolni posiadający ziemię. Powoli w ten sposób służba wojenna stała się specyalnością jednego stanu — szlachty, rycerstwa. Był to też jedyny stan prawdziwie wolny w wiekach średnich, bo on decydował o losach państwa. Ale też dlatego ówczesne urządzenie wojska różniło się najzupełniej od późniejszych armii stałych. Stan rycerski — obok rzemiosła wojennego - zajmował się gospodarstwem rolnem i sprawami państwowemi. Rycerstwo średniowieczne nie było ślepem narzędziem w niczyjem ręku, przeciwnie, ono to właśnie kierowało państwem.

Z upadkiem sił i znaczenia szlachty rzemiosło wojenne coraz bardziej przechodziło w inne ręce : do najemnego żołdactwa. Najemni żołdacy zjawiają się w XIII, a nawet — jak we Francyi — już w XII wieku. Byli to już ludzie wyłącznie oddani sztuce mordowania bliźnich, jednak zwykle wynajmowano ich tylko na czas wojny. Po wojnie zaś tacy żołdacy szli w świat kupami i żyli z pieniędzy, zebranych w czasie wojny, z jałmużny, albo też — i to przeważnie - z rabunków, dokonywanych na spokojnych obywatelach. Jednem słowem, były to bandy zbójeckie, które w czasie wojny można było najmować i wypuszczać jak psów na nieprzyjaciela. Jak widzimy, było to coś zupełnie różnego od dzisiejszych armii stałych, tembardziej, że nawet w czasie wojny takie wojska najemne gotowe były za obiecaną lepszą zapłatę w każdej chwili przejść do nieprzyjaciela i — ma się rozumieć — słuchały nie książąt panujących, lecz swych własnych hersztów.

Dopiero w XV wieku w chrześciańskiej Europie powstają prawdziwe armie stałe, wojsko, oddane wyłącznie jednemu królowi lub księciu panującemu. Były to także armie najemne, werbowane za pomocą pieniędzy, obietnic, podstępu, a czasem i zwykłego gwałtu. Nowe żołdactwo, jak i dawniejsze, żyło wyłącznie z rzemiosła wojen-

nego, i żołdak był żołdakiem zwykle aż do śmierci. Ale panujący werbował ich teraz na stałe, nie zaś — jak dawniej — tylko na czas wojny. Zapewniał im w ten sposób utrzymanie na całe życie, a za to wymagał ścisłej karności, ślepego posłuszeństwa i zupełnego oddania się. W czasie pokoju taki żołdak też niezupełnie mógł próżnować : ćwiczono go ciągle w sztuce wojennej, tembardziej że świeżo wprowadzona broń palna wymagała od żołnierzy daleko większej wprawy.

Owe pierwsze armie stałe opierały się — jak powiedzieliśmy — na werbunku, to jest przeważnie na zaciąganiu się do wojska ludzi z własnej woli. Jednak w wojnach XVII wieku, wojnach długich i obejmujących wielkie przestrzenie kraju, nieraz brakowało ludzi, chętnych do sprzedawania swej krwi i życia. Panujący (zwłaszcza książęta niemieccy) zaczęli uciekać się do sposobu tańszego i łatwiejszego, niż werbunek : do przymusowego rekrutowania.

Takie to armie stałe, składające się z żołnierzy fachowych, wytresowanych, ale tylko za pomocą kija trzymanych w karności, spotkały się w XVIII wieku dwa razy z wojskiem ludowem : w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki i w wojnach z rewolucyjną Republiką Francuską. W obu wypadkach najemne albo gwałtem rekrutowane żołdactwo poniosło porażkę, zwyciężył lud, zwyciężyło powszechne uzbrojenie ludu. Łatwo zrozumieć, że żołnierz rewolucyi amerykańskiej albo francuskiej, bijąc się za wolność własną, za bezpieczeństwo ogniska rodzinnego, za kraj ojczysty, musiał pobić żołdaka, bijącego się za marne utrzymanie albo ze strachu przed kijem. Łatwo także pojąć, że cały lud, stojący lub gotowy stanąć pod bronią, musi pobić mniej liczne armie wytresowanych fachowych żołnierzy. To ostatnie zrozumieli jenerałowie całej Europy. I odtąd powoli wszędzie zaprowadzano powszechną powinność wojskową : dziś prawie we wszystkich państwach Europy każdy mężczyzna, jako tako zdatny do wojska, należy czy to do armii właściwej, czy to do rezerwy. A jednak dziś jeszcze wszędzie — oprócz Szwajcaryi — niema właściwego uzbrojenia ludu, a natomiast istnieje armia stała. Do dziś „być pod bronią“, czyli mieć broń, znaczy to samo, co — znajdować się w armii stałej, w koszarach lub w obozie.

Tak więc widzimy, że pierwotne urządzenie wojska było to : brak armii stałej, powszechne uzbrojenie ludu ; potem znika powszechne uzbrojenie, ale niema jeszcze armii stałej ; dalej, wobec bezbronnego ogółu ludności, powstaje armia stała ; wreszcie — jak obecnie — armie stałe pozostają, chociaż zjawia się powszechna powinność wojskowa.

Przyjrzyjmy się jeszcze dokładniej dzisiejszej armii stałej. Przedewszystkiem w każdem państwie dzisiejszem istnieje olbrzymia ilość prawdziwego zawodowego żołdactwa : oficerzy i podoficerzy. Są to ludzie, żyjący z rzemiosła mordowania bliźnich, a w wojnie widzący sposobność do pozyskania wyższych rang i zbogacenia się. Jak liczną jest ta klasa, tego dowodzi, że np. cesarstwo niemieckie utrzymuje obecnie samych podoficerów prawie 80.000 ! Sami oficerzy i podoficerzy stanowią więc wcale pokaźną armię, gotową na każde zawołanie rozlewać krew współobywateli dla obrony „porządku“ kapitalistycznego.

Przytem w państwach despotycznych, jak Rosya, lub napół despotycznych, jak Niemcy, wyżsi oficerowie, jako najmilsi z ulubieńców carskich czy cesarskich, wywierają znaczny wpływ na rządy państwa, i to oczywiście wpływ szkodliwy. Oni to przedewszystkiem pchają rząd do polityki zaborczej i do wojen. A tam, gdzie jak w Niemczech panujący sam uważa siebie za oficera, tam usiłuje on rządzić jak brutalny oficer w koszarach. Wreszcie nawet w krajach wolniejszych, jak Francya, organizacya oficerska poczuwa się do odrębnych interesów od reszty kraju tak samo, jak rości sobie pretensye do odrębnego od zwykłych śmiertelników „honoru". Sprawa Dreyfusa doskonale to ujawniła.

Prócz tej klasy zawodowych żołnierzy widzimy w koszarach całej Europy miliony młodych ludzi, odbywających kilko- lub paroletnią służbę. Liczba ich w roku 1892 wynosiła 3.240.000 ! Przeszło 3 miliony ludzi, oderwanych od pracy i utrzymywanych kosztem społeczeństwa, z podatków, płaconych przeważnie przez klasy pracujące ! Koszt to nie mały, bo utrzymanie i uzbrojenie armii europejskich kosztuje razem około 40 milionów rubli t y g o d n i o w o ! W jakim celu wydawane są te niesłychane sumy ? Nie chodzi tu o naukę władania bronią. Ludzie, dokładnie znający się na rzeczy, twierdzą, że już połowa czasu, spędzanego obecnie w koszarach, aż nadto wystarcza na wyuczenie się całej sztuki wojskowej potrzebnej żołnierzowi. W ten sposób połowa, czyli z górą półtora miliona ludzi, zamkniętych dziś w koszarach europejskich, trzymana jest nie dla nauki wojskowej, a w innych celach. Otóż, chociaż państwa europejskie od 20 lat prawie nie prowadziły wojny między sobą w Europie, to jednak pamiętajmy, że wojny na kuli ziemskiej ciągle się toczą. Burżuazya, zgłodniała zysków i nowych rynków dla wyzyskiwania, ciągle kradnie ziemię i wolność u dzikich i nie-dzikich ludów Azyi, Afryki i Australii. W ciągu ostatnich tylko 12 lat Anglia skradła przeszło dwa i pół miliona kwadratowych mil angielskich, czyli kawał ziemi dwadzieścia dwa razy większy od Anglii właściwej ; Niemcy w tym samym czasie zagrabiły prawie półtora miliona kwadratowych mil ang. i t. p. Takie łupiestwa darmo nie przychodzą : żołnierze europejscy musieli przytem namordować dużo bezbronnych dzikusów. A przy podziale tych łupów burżuazya europejska różnych krajów łatwo może i między sobą wziąć się za łby ; na ten wypadek też trzeba mieć pod ręką gotowego żołnierza w koszarach.

Ale na tem bynajmniej nie koniec, i nie to jest w armii stałej najważniejszą rzeczą dla klas, rządzących dzisiejszem społeczeństwem. Coprawda — jak mówiliśmy — p o ł o w a czasu, spędzanego dziś w koszarach, wystarcza na to, by zrobić sprawnego żołnierza z najniezgrabniejszego parobczaka. Ale c a ł y ten czas ledwie starczy, by z człowieka zrobić dzikie zwierzę, by robotnika od warsztatu, chłopa od pługa nauczyć patrzenia na współbraci cywilnych jak na istoty niższe, by poczciwego chłopaka oswoić z myślą o „strzelaniu do ojca i matki", by z myślącej jednostki uczynić maszynę, gotową do każdej zbrodni na skinienie oficera! A o to właśnie chodzi. W tym właśnie

celu trzymają znaczną część młodzieży w koszarach, odciętą od reszty społeczeństwa. I cel ten rządy nasze osiągają. Nie mamy co mówić o morderstwach, dokonywanych przez oficerów niemieckich i moskiewskich na ludziach cywilnych niemal bezkarnie. To samo robią i szeregowcy. Przypomnijmy sobie ciągłe napady żołnierzy na cywilnych w Galicyi, strzelania do przechodniów w Niemczech, zbrojny napad całego oddziału żołdactwa moskiewskiego na wesele chłopskie pod zaborem rosyjskim. A zresztą — dość popatrzeć na polskiego parobczaka, jakim on powraca z wojska moskiewskiego lub niemieckiego. Czyż rzadkie są wypadki, że taki chłopak wstydzi się nawet własnej mowy i popisuje się łamaną mową najezdcy? Ile czasu nieraz potrzeba, by zatrzeć głupotę i zbydlęcenie, nabyte w wojsku?

Nie dość więc, że armie stałe umożliwiają w każdej chwili zalanie Europy potokami krwi, nie dość, że dzięki im dla zysków burżuazyi europejskiej tracą wolność, ziemię, a nieraz są i wyrzynane w pień plemiona Azyi i Afryki, nie dość, że dzięki im proletaryat jęczy pod jarzmem podatków. Prócz tego one stale demoralizują młodzież wszystkich krajów, wynaradawiają młodzież polską i są kajdanami, wstrzymującymi proletaryat w dążeniu do wolności i lepszego ładu społecznego, a w szczególności przykuwającymi nas do państw zaborczych.

Oprócz tych wojsk koszarowych, czyli właściwie armii stałej, stanowiącej armię na stopie pokojowej (bo utrzymywaną stale w czasie pokoju), istnieją prawie w całej Europie różne rodzaje armii rezerwowej. Liczyły one w w 1892 r. $9^1/_2$ miliona ludzi, po większej części zobowiązanych stawać do ćwiczeń wojskowych w pewnych odstępach czasu oraz do służby czynnej w razie wojny. Oba te rodzaje armii, razem wzięte, stanowią w ten sposób armię na stopie wojennej.

Do armii rezerwowych należy ludność męska, zdatna do wojska, lecz nie wzięta do koszar dlatego, że rządowi brak pieniędzy na jej utrzymanie. Swoją drogą, jak widzimy, do służby wojskowej — w razie wojny — ona jest obowiązaną, a w czasie ćwiczeń pobiera naukę sztuki wojennej. W ten sposób właśnie przeprowadzono dziś powszechną powinność wojskową, zachowując jednocześnie armię stałą.

Otóż o ile partya nasza przeciwną jest armiom stałym, o tyle z drugiej strony socyaliści wszędzie są zwolennikami powszechnej powinności wojskowej, i żądają p o w s z e c h n e g o u z b r o j e n i a l u d u, c z y l i m i l i c y i. Milicya istnieje już w Szwajcaryi. Przyjrzyjmy się więc szwajcarskim urządzeniom wojskowym.

Zaprawianie się do obrony ojczyzny zaczyna się w Szwajcaryi w bardzo młodym wieku. Już od 10-go roku życia aż do ukończenia szkoły ludowej każdy chłopiec uczy się gimnastyki, która rozwija jego siły fizyczne a zarazem przygotowuje go do służby wojskowej. Te ćwiczenia gimnastyczne, połączone przeważnie z nauką władania bronią, trwają obowiązkowo dla każdego szwajcara i po skończeniu szkoły ludowej, aż do 20 roku życia. Prócz tego już od 16-go roku można pobierać i właściwą naukę wojskową. Nic dziwnego, że po takiem przygotowaniu w dzieciństwie, każdy szwajcar po kilku tygodniach służby staje się zupełnie wyćwiczonym żołnierzem. Już sama gimnastyka za

młodu, gdy wszystkie członki jeszcze nie zesztywniały, robi go daleko obrotniejszym i żwawszym. Przytem dobre szkoły szwajcarskie należycie rozwijają umysł dziecka, co także ułatwia mu zrozumienie wojskowości. To też służba wojskowa właściwa trwa tylko 45 dni w piechocie, 60 dni w konnicy albo 55 dni w artyleryi itd. Po tym terminie szwajcar wraca do swej zwykłej pracy i zabiera ze sobą do domu broń i rynsztunek, należy jednak przytem zwykle do towarzystwa strzeleckiego i w niem dalej wprawia się we władaniu bronią, słucha wykładów wojskowych itp. Do ćwiczeń staje znowu — w piechocie co 2 lata na 16 dni, w kawaleryi co roku na 10 dni, w artyleryi co 2 lata na 18 dni itp. Kto chce zostać podoficerem lub oficerem, ten odbywa ćwiczenia o kilka tygodni dłuższe i paromiesięczny kurs specyalnych nauk.

W ten sposób oprócz koniecznej i bardzo niewielkiej liczby oficerów sztabowych, zarządzających nauką wojskową, każdy szwajcar — czy to żołnierz czy oficer - pracuje stale w jakimś fachu cywilnym; każdy żołnierz jest obywatelem, korzystającym ze wszystkich praw. Pomiędzy armią a ludem niema tu żadnej przegrody, bo cały lud jest armią. Wszystkie złe strony armii stałej, o których mówiliśmy, tutaj nie istnieją. Natomiast pod względem ilości siły zbrojnej Szwajcarya, stosunkowo do swej ludności, przewyższa wszystkie inne kraje; pod względem zaś jakości żołnierza bynajmniej im nie ustępuje. Ale armia szwajcarska nie nadaje się do wojny zaczepnej, do ciemiężenia innych narodów lub topienia we krwi ruchów ludowych. Ma się rozumieć, gdy cały lud szwajcarski jest przeciwny jakiemuś hasłu, w imię którego by powstała tam jakaś drobna garstka, to wtedy ludowe wojsko, milicya szwajcarska, potrafiłaby taki bunt uśmierzyć. Jednak do tłumienia jakiegoś ruchu poważnego, obejmującego masy ludności, ta sama ludność uzbrojona — jako milicya — oczywiście by nie stanęła*).

Takie urządzenie wojska jest jedynie zgodne z wymaganiami prawdziwej demokracyi, to jest rządów ludowych. Każdy obywatel kraju, korzystając z powszechnego prawa głosowania przy wybieraniu rządu, decydując sam za pomocą bezpośredniego prawodawstwa o każdem ważniejszem prawie, jednocześnie powinien mieć obowiązek obrony kraju i prawo noszenia broni dla odparcia przemocy nietylko nieprzyjaciela zewnętrznego, ale i tyranii domowej. Rzeczpospolita socyalistyczna. usuwając podział społeczeństwa na klasy, usunąć musi także i podział ludności na wojskowych i cywilnych, znieść armię stałą, zaprowadzić natomiast milicyę podobną do szwajcarskiej. Powiadamy „podobną“, a nie koniecznie właśnie taką samą, bo szczegóły urządzenia milicyi, naprzykład długość ćwiczeń wojskowych, muszą zależeć od różnych potrzeb czasu i kraju. Istota uzbrojenia ludowego polega nie na tem, żeby służba wojskowa trwała tylko 45 dni czy nawet krócej, ale na tem, żeby nie trwała ona dłużej, niż potrzeba do nauki, żeby w kosza-

---

*) Zresztą przy wolności szwajcarskiej żaden ruch prawdziwie poważny nie potrzebuje uciekać się do przemocy, bo może się swobodnie rozpowszechniać i liczyć na pewne i łatwe zwycięstwo, gdy pozyska większość ludu.

rach nie trzymano żołnierzy już wyćwiczonych, żeby nie wpajano w armię poczucia odrębności od reszty społeczeństwa.

Takiej reformy, takiego urządzenia armii my, robotnicy polscy, nie możemy się spodziewać po żadnym z naszych rządów zaborczych. Nawet wolna Szwajcarya nie mogłaby zadowolnić się milicyą, gdyby trzymała w jarzmie podboju jakiś inny naród. Zaprowadzenie uzbrojenia ludowego w Rosyi czy w Niemczech znaczyłoby natychmiastowe oderwanie się Polski od tych państw. Dokonamy tej reformy w nie podległej Polsce robotniczej, tak samo, jak dopiero w wolnej ojczyznie możemy spodziewać się bezpośredniego prawodawstwa ludowego.

I ma się rozumieć, gdy armia a lud będą tem samem, wtedy też cały lud musi mieć prawo decydowania o wypowiedzeniu wojny, lub o zawarciu pokoju. Decydować o tem lud może w dwojaki sposób: albo za pomocą parlamentu, wybranego przez powszechne głosowanie, albo za pomocą bezpośredniego prawodawstwa ludowego. Pierwszy sposób jest daleko prędszy od drugiego. Dopókąd więc rzeczpospolita socyalistyczna będzie miała pod bokiem państwa despotyczne albo chociażby tylko burżuazyjne, dopókąd trzeba się będzie obawiać napadu, dotąd o wojnie i pokoju trzeba będzie decydować drogą prędszą — w parlamencie. Gdy jednak socyalizm zapanuje w całej Europie, nie wyłączając Rosyi, odtąd sprawę wojny lnb pokoju można będzie bezpiecznie załatwiać w drodze bezpośredniego głosowania całego ludu. Albowiem od tej chwili zniknie na zawsze niebezpieczeństwo wojny. Gdy cała ludzkość będzie pracowała i używała równych wygód, wtedy zniknie chęć szukania zysków za pomocą rozboju na sąsiednich narodach.

Wtedy też urzeczywistni się jedno jeszcze żądanie partyi socyalistycznych: rozstrzyganie wszystkich sporów między narodami za pomocą sądów polubownych. Sądów takich już dziś używały i używają niektóre państwa burżuazyjne (np. Anglia w sporze ze Stanami Zjednoczonymi). Ale sądy te rozstrzygają sprawy domowe między burżuazyą i rozstrzygają je, mając na względzie interesy istniejących państw burżuazyjnych. Gdyby klasy i rządy, dziś panujące, nawet szczerze chciały zastąpienia wojny raz na zawsze przez sądy polubowne, to tego one dopiąć nie mogą. Ani klasy pracujące, ujarzmione na całym świecie, ani zwłaszcza proletaryat polski, okuty w podwójne kajdany ucisku ekonomicznego i niewoli polityczno-narodowej, nie wyrzekną się nadziei wyzwolenia — chociażby z bronią w ręku. A wobec tego — chociaż potępiamy armie stałe, chociaż cierpimy jako żołnierze w koszarach, możemy być jednak zadowoleni, że przy powszechnej powinności wojskowej rządy zaborcze same ćwiczą masy pracującego ludu polskiego w sztuce władania bronią.

B. A. J.

PRAWO O DNIU ROBOCZYM W ROSYI.

Kiedy w Rosyi wydano prawo o „długości i rozkładzie czasu roboczego w zakładach fabrycznych i przemysłowych“ (14 czerwca 1897 r.), chwalcy caratu zaczęli się na nie powoływać, jako na nowy dowód troskliwości rządu o dobro robotników. „Widzicie — mówili — car daje nam to, czego niema jeszcze w Anglii, Niemczech i tylu innych krajach, mianowicie ustawowe skrócenie dnia roboczego dla dorosłych. Nie potrzebujecie więc wzdychać do wolności politycznej, bo rząd samowładny lepiej dba o wasz dobrobyt“. Coprawda, nadto dobrze znamy swoich kochanych opiekunów, aby gadaninę tę brać za dobrą monetę. Ale — może przynajmniej w tym wypadku, raz na sto lat, rząd okazał się wspaniałomyślnym i o nasze interesy troskliwym? Zobaczmy.

Tak zwany „normalny“, to jest przez ustawę dla wszystkich robotników ograniczony dzień roboczy, istnieje rzeczywiście w niewielu krajach. W każdym razie Rosya nie uczyniła tutaj pierwszego kroku, poszła tylko — i to późno — za przykładem innych państw. W artykule o „Prawodawstwie fabrycznem w Szwajcaryi“ (Światło N⁰ 1) mówiliśmy, że kanton szwajcarski Glarus zaprowadził normalny dzień roboczy już w 1864 r., Bazylea-miasto w 1869, Tessin w 1873 r.; a w całej Szwajcaryi skrócono ustawowo dzień roboczy w 1877 roku, to jest akurat 20 lat przed carskiem prawem, w Austryi dano normalny dzień roboczy w r. 1885 (Światło N⁰ 3), więc o 12 lat uprzedzono cara. Kiedy we Francyi w 1848 r. robotnicy wywalczyli sobie republikę, zaraz kazali rządowi skrócić dzień roboczy: w Paryżu do 10 godzin, na prowincyi do 11. Później, gdy robotników burżuazya zwyciężyła, prawo to znacznie pogorszono, a gdy Napoleon zaprowadził cesarstwo, zupełnie o niem zapomniano. W wielu stanach (dzielnicach) Ameryki Północnej oddawna już istnieje 8 godzinny nawet dzień roboczy, w innych znowu 10 godzinny, coprawda z zastrzeżeniem, które prawu zupełnie siłę odejmuje, mianowicie, że wolno zawierać umowy na dłuższy od ustawowego dzień roboczy.

A w Anglii, Niemczech i t. d.? Tam rzeczywiście normalny dzień roboczy istnieje tylko dla kobiet i małoletnich (o Niemczech: Światło N⁰ 2), a nie dla wszystkich robotników. Jednakże Rosya wcale nie może być dumna z porównania: ona zaprowadza ustawowy 11 i pół godzinny dzień roboczy, a tymczasem w innych krajach, bez ustawy, dzień roboczy wogóle jest znacznie krótszy. W Anglii w fabrykach mamy 10 i 9 godzinny średni dzień roboczy; 8 godzin pracy też nie stanowi tam rzadkości. W Australii niema ustawowego ograniczenia dnia roboczego dla mężczyzn, a przecież tam średnia jego długość wynosi 8 godz. i to nietylko dla robotników fabrycznych i górników, lecz dla ogółu robotniczego. Dlaczego tak jest? Naprzód, zależy to od ogólnego stanu ekonomicznego: tam, gdzie przemysł znajduje się na wyższym stopniu rozwoju (jak w Anglii), skrócenie dnia roboczego łatwo okupuje się udoskonaleniem maszyn i większem napięciem, natężeniem pracy; tam znowu, gdzie jest dużo

ziemi niezajętej a ludność rzadka (jak w Australii), robotnicy już przez to samo mogą zyskać sobie lepsze warunki bytu i pracy. Dalej, w Anglii i innych krajach prawo skróciło dzień roboczy dla kobiet, a ponieważ tych ostatnich pracuje w przemyśle bardzo dużo, przeto w wielu gałęziach (zwłaszcza w tkactwie) fabrykanci, chcąc nie chcąc, musieli skrócić dzień roboczy dla wszystkich robotników. Wreszcie — a rzecz to niezmiernie ważna — zagranicą robotnicy mają swobodę ruchów, są obywatelami, mogą sobie za pomocą strejków i związków zawodowych dużo wywalczyć. To wszystko objaśnia, dlaczego w wielu krajach robotnicy, nawet bez ustawy o normalnym dniu, zyskali daleko, daleko więcej, niż daje ustawa rosyjska. Gdyby im chciano ofiarować tę ostatnią, parsknęliby śmiechem.

Ale może przynajmniej ustawa rosyjska ma tę zaletę, że jest wspaniałomyślnym dobrowolnym darem rządu, wzruszonego nędzą robotników? Gdzie tam! „Wspaniałomyślność" napędził carowi — strach. Dopiero gdy robotnicy przemówili, gdy zaczęli się upominać o swe prawa, dopiero wtedy rząd zwrócił uwagę na ich położenie. Gdyby w pokorze nosili jarzmo, carat ani pomyślałby o ulżeniu im losu.

Walka o skrócenie dnia roboczego zaczęła się w Polsce: w Królestwie i o wiele słabiej — na Litwie. Święto 1 maja co rok świadczyło, że proletaryat polski wypisał na swym sztandarze, obok innych haseł, żądanie „trzech ósemek" : 8 godzin pracy, 8 godzin snu, 8 godzin rozrywki i nauki. A w r. 1892 1-y maja w Łodzi dał początek burzliwemu strejkowi całego miasta, kiedy to wszyscy robotnicy „polskiego Manchesteru" wielkim głosem jęli się domagać skrócenia dnia roboczego. Ruch zduszono, ale myśl została. Przestrach ogarnął łódzkich „królów bawełnianych". Stracili dumną pewność siebie i butę dorobkiewiczów. Czuli, że trzeba porobić robotnikom ustępstwa, ale jednocześnie pragnęli, aby konkurenci ich — fabrykanci rosyjscy — los ten podzielili. Ponieważ w Rosyi dzień roboczy jest dłuższy, niż u nas, fabrykanci nasi, żądając ustanowienia jednej jego miary, tem samem chcieli polepszyć sobie warunki współzawodnictwa. Występując jako niby to „dobroczyńcy" robotników, ani na chwilę nie tracili z oczu swego interesu.

W roku 1894 oddział łódzki Towarzystwa popierania przemysłu i handlu wypracował następujący projekt skrócenia dnia roboczego : 1) zakazać należy pracę nocną (w fabrykach i kopalniach) między 10 godz. wiecz. a 4 rano ; 2) zaprowadzić 10 godzinny dzień roboczy w szczególnie dla zdrowia szkodliwych gałęziach przemysłu, 11 godz. w przemyśle metalurgicznym i 12 godzinny w pozostałym ; 3) uregulować pracę w niedziele i święta. Zasady te miały, według projektu, obowiązywać przez 5 lat ; po tym okresie dzień roboczy należałoby skrócić o godzinę, a za czas nocny uważać porę między 9 godz. wieczorem a 5 rano. Projekt ten rozesłano do rosyjskich towarzystw przemysłowych, gdzie go też szczęśliwie pogrzebano. Kapitaliści rosyjscy nie czuli jeszcze zbawiennego strachu wobec robotników.

Jednakże — jak mówi przysłowie — dzisiaj mnie, jutro tobie. W lecie 1896 r., podczas koronacyi, wybuchł znany wielki strejk

petersburski. Fabrykanci petersburscy musieli teraz podzielić los kolegów łódzkich, i za ich przykładem, sami zaczęli domagać się reform. Rząd przestraszył się jeszcze bardziej — i sprawa normalnego dnia roboczego stanęła na porządku dziennym. Różne komisye rządowe powołano do rozmyślania nad tem, żeby pozornie zrobić ustępstwo robotnikom, a w gruncie rzeczy położenia ich w niczem nie zmienić, interesów kapitału nie obrazić. Naturalnie, do komisyi tych przedstawicieli robotników nie zaproszono. Że w Szwajcaryi sekretarz robotniczy, wybierany przez robotników a opłacany przez rząd, jest socyalistą, że w Anglii przy badaniu wszelkich spraw życia przemysłowego zasięgają zdania robotników, że nawet w Austryi powołano świeżo do „Rady pracy“ przy ministeryum handlu kilku socyalistów — to wszystko „świętej“ Rosyi nic nie obchodzi. Państwo to, chcące uchodzić za demokratyczne, przychylne ludowi, zawsze, kiedy w grze są interesy robotników, udaje się po radę — do fabrykantów. Tak było i tym razem : do jednej z komisyi, zajmujących się przygotowaniem ustawy, zaproszono aż — 200 wielkich przemysłowców. Że wpływ tych panów odbije się na ustawie aż nadto wyraźnie — tego z góry można się było spodziewać.

Główne przepisy prawa z 14 czerwca 1897 r. są następujące : czas roboczy nie powinien trwać dłużej nad 11 i pół godz. (na dobę); ci, którzy pracują w nocy, nie mogą pracować dłużej nad 10 godzin na dobę ; za noc uważa się czas między godz. 9 wieczorem a 5 rano, tam zaś, gdzie pracuje się z dwiema zmianami, — czas między 10-tą a 4-tą ; w sobotę i w przeddzień świąt czas roboczy ma wynosić najwyżej 10 godzin ; w niedzielę i 14 świąt uroczystych pracować nie wolno.

Gdyby prawo na tem się kończyło, to bądź co bądź, chociaż naturalnie zadowolić by nie mogło, nie byłoby pozbawione wartości. Ale nie zapominajmy, że rządowi wcale nie chodziło o interesy robotników ; to też zaraz postarano się korzystne strony prawa zniweczyć. Naprzód, pozwolono ministrom wydawać specyalne przepisy, mające prawo uzupełnić. Otóż historya rosyjskiego prawodawstwa fabrycznego przekonywa nas, że ministrowie, niby to „uzupełniając“ prawo, prawie zawsze kaleczą je i psują ku szkodzie robotników. Powtóre, prawo ustanawia wprawdzie normalny dzień roboczy, ale dodaje : robotnicy mogą pracować dłużej, jeśli na to wyrażą zgodę ; są zaś obowiązani do pracy po nad normę, po fajerancie, jeżeli tego wymagają warunki „techniczne“ wytwarzania. Łatwo zrozumieć, że zastrzeżenia te sprowadzają znaczenie prawa do zera : bo przecież fabrykanci mają tysiące sposobów, aby „uzyskać zgodę“, to znaczy zmusić robotników do pracy dodatkowej, dłuższej nad 11 i pół godzin. Gdyby zaś sprzeciwiali się temu, to przecież wisi nad nimi miecz prawa przeciwko strejkom z jego surowemi karami.

Wykonywając polecenie ustawy, ministrowie wydali przepisy mające prawo wyjaśnić i uzupełnić. Przepisy te są wydane jakby pośmiewisko ; zadają one prawu o czasie roboczym cios ostateczny.

Wszędzie przebija się w nich nadzwyczajna dbałość o interesy fabrykantów, a zupełne lekceważenie interesów robotniczych.

Zobaczmy np., jak ministrowie rozstrzygają sprawę przerw w pracy. Mówią : „Jeżeli liczba godzin pracy na dobę większa jest od dziesięciu, nakazuje się przynajmniej jedną przerwę, która ma trwać nie krócej, jak godzinę...“ Ministrowie sądzą zatem, że robotnik może i powinien pracować 10 godzin bez przerwy. Ale nie myślcie, że robotnicy, pracujący dłużej nad 10 godzin, będą zawsze doświadczali dobrodziejstwa przerwy — bynajmniej! Przepisy ministrów uwzględniają wyjątki od tego prawidła, jeżeli to jest konieczne ze względu na warunki wytwarzania oraz jeżeliby przerwanie pracy miało być uciążliwem dła robotników! Słyszycie! Odpoczynek może być uciążliwym dla robotników!! Do krzywdy moskiewscy ci opiekunowie dodają jeszcze bezczelne urągowisko.

Przepisy nakazują też, „by robotnik miał możność przyjmowania posiłku co 6 godzin“. Jeżeli wszakże praca między przerwami trwa przeszło 6 godzin, to „robotnikowi należy dać możność przyjmowania posiłku w czasie g o d z i n p r a c y, przyczem w regulaminie fabrycznym miejsce przyjmowania posiłku powinno być oznaczone“. Z tego wszystkiego wypływa poprostu, że robotnik w pewnych wypadkach będzie pracował 11 i pół godz., a pan fabrykant może mu wspaniałomyślnie udzielić na posiłek naprzykład 5 minut! Dobrze jeszcze, jeżeli nie każe mu posilać się w warsztacie, podczas biegu maszyn. . . .

Najciekawszą wszakże i najważniejszą rzeczą w przepisach są wyjątki od prawa, tyczące się długości dnia roboczego i pracy w niedziele i święta.

Pierwszy wyjątek tyczy się „robót nieprzerwanych, to jest tych, które nie mogą być przerywane w dowolnym czasie bez uszkodzenia narzędzi, materyałów surowych lub wytworów“. Przy takich robotach „ogólna liczba godzin pracy w ciągu dwóch następujących po sobie dób nie powinna dla każdego robotnika przewyższać 24 godz. ; w ciągu zaś tych dwóch dób, w których zmiana dzienna przechodzi do pracy nocnej i odwrotnie, 30 godz.“ Prawo uświęca tedy w pewnych wypadkach 15 godzinny dzień roboczy!!

Następnie, przy pracy nieprzerwanej robotnik ma tylko 3 — 4 dni wolnych na miesiąc, a więc o 18 — 30 mniej od ogólnej normy (miary).

Drugi wyjątek stanowią „roboty, konieczne do puszczenia fabryki w ruch w oznaczonym czasie, tudzież te, które z konieczności muszą być wykonywane po zatrzymaniu fabryki“ (bieżące reperacye, dozór nad kotłami, opalanie i oświetlanie fabryki i t. d.).

Trzeci wyjątek obejmuje nadzwyczajne reperacye w razie zepsucia się kotłów, maszyn i wogóle w razie nieprzewidzianych uszkodzeń, tudzież -- roboty w tych wypadkach, kiedy skutkiem pożaru i t. p. praca na jakiś czas była wstrzymana lub ograniczona.

Czwarty wyjątek zachodzi . . . we wszystkich wypadkach, kiedy panom ministrom spodoba się odstąpić od prawa, to znaczy zawsze, kiedy fabrykanci będą tego żądali. Mianowicie przepisy mówią, że

wyjątki, za zgodą ministra, mogą być robione „i w innych szczególnie ważnych, wyjątkowych wypadkach“. Naturalnie, że, im łapówka będzie większa, tom chętniej będzie robiony wyjątek, tem „wypadek“ będzie w oczach i... na dłoniach urzędników moskiewskich „ważniejszy“.

Wszystkich tych wyjątków było jednak panom prawodawcom za mało: przecież trzeba jeszcze mieć na widoku tę okoliczność, że robotnik może sam, dobrowolnie pożądać pracy dodatkowej! Liczbą godzin takiej pracy nie powinna — tak orzekli początkowo ministrowie — przewyższać 120 godzin na rok.

Doprawdy, po tem wszystkiem można by powiedzieć do klasy kapitalistów słowami poety: „Masz wszystko, czego dusza zapragnie... O luba, czegóż chcesz więcej?!“ W rzeczy samej, przytoczone wyżej przepisy sprowadzają się prawie do zera: na papierze jest 11 i półgodzinny dzień roboczy, ale fabrykanci mogą być spokojni. Jeśli tylko dusza ich zapragnie, aby robotnicy pracowali dłużej, to życzeniu ich natychmiast stanie się zadość. Kruk-urzędnik krukowi-kapitaliście oka nie wykole.

Wszakże panowie fabrykanci są nienasyceni. Zdawałoby się, że rząd zrobił już wszystko, aby ich zadowolić, aby interesy ich całkowicie zabezpieczyć — ustępstwa te ich nie zaspokoiły. Ministrowie zaliczyli do przedsiębiorstw z pracą ciągłą, nieprzerywalną, cały szereg gałęzi przemysłu: cukrownie, gorzelnie, rafinerye spirytusu, młynarstwo, piekarnie, fabryki drożdży; poczynili specyalne ulgi co do pracy nad normę drukarniom. „To jeszcze nie wszystko“ — wołali przemysłowcy. Zawadzało im, że liczba godzin „dobrowolnej“ pracy dodatkowej ograniczona została 120-oma. Precz z tem ograniczeniem! Ministrowie moskiewscy bardzo szanują wolność wyzysku i mają serce nader czułe na niedolę fabrykantów; to też natychmiast skarg ich usłuchali. Jednem pociągnięciem pióra ograniczenie powyższe zniesiono: w ten sposób dano fabrykantom nieograniczoną możność zmuszania robotników do pracy 12-to, 13-to i 14-to godzinnej. Oto do czego sprowadzono prawo o normalnym dniu roboczym.

Musimy tu jedno jeszcze zaznaczyć. Gdyby prawo to nie było czemś zupełnie złudnem, „papierowem“, to i w takim razie zupełnie nie odpowiadałoby potrzebom robotników polskich. Skracając dzień roboczy do 11 i pół godzin, rząd liczył się tylko z warunkami życia przemysłowego w Rosyi. Tymczasem w Królestwie dzień roboczy jest krótszy niż w Rosyi, a robotnicy mają potrzeby wyższe i żądania dalej idące. To też w naszych warunkach tylko ogólne skrócenie dnia roboczego do 10 godzin byłoby istotnym postępem. To samo da się powiedzieć i o pracy nocnej: u nas jest ona daleko mniej rozpowszechniona niż w Rosyi, przemysł nasz doskonale mógłby się bez niej obejść (wszak fabrykanci łódzcy sami żądali jej zniesienia). Ale rząd, nie zakazując pracy nocnej, miał na uwadze interesy przemysłowców rosyjskich, zwłaszcza (najbardziej przemysłowego) okręgu moskiewskiego, gdzie praca nocna ma powszechne zastosowanie.

Po rozpatrzeniu rosyjskiego prawodawstwa fabrycznego nasuwają się same przez się dwa wnioski.

Po pierwsze. Niemasz rzetelnego, skutecznego i postępowego prawodawstwa ochronnego bez wolności politycznej. Gdzie, jak w Rosyi, robotnicy nie mają żadnej swobody ruchów, gdzie nie wolno im strejkować, zakładać choćby najniewinniejszych stowarzyszeń, bronić swoich interesów w prasie, na zgromadzeniach, w parlamentach, w radach miejskich, gdzie o wszystkiem rozstrzygają urzędnicy, łapownicy i policyanci, nie zdając nikomu sprawy ze swych czynności, gdzie robotników nigdy i w niczem nie pytają o zdanie, uważając ich za istoty niższego rzędu, gdzie stosują całkiem inną miarę względem robotników, jak względem fabrykantów: gdzie zgraja ciemięzców jest wszystkiem, a obywatel niczem, tam prawodawstwo ochronne może być tylko złudą i kłamstwem. To też obowiązkiem jest naszym na żadne prawa moskiewskie nie zważać, robić to, co rząd zakazuje, ufać tylko we własne siły, we własną świadomość, wbrew rządowi walczyć o polepszenie bytu. A w walce tej nigdy zapominać nie powinniśmy o dążeniu do wolności politycznej. „Chlebem — wolność, chleb — wolnością!“

Po drugie. Rząd rosyjski stara się, aby na całym obszarze ogromnego państwa rosyjskiego panowało jedno prawo, a wydając prawa, stosuje je tylko do warunków życia rosyjskiego. Z naszemi potrzebami wcale się nie liczy, narzuca nam to, co wyrosło z całkiem innych potrzeb i warunków, co nie odpowiada wymaganiom kraju, wyżej rozwiniętego przemysłowo i kulturalnie. Stwierdza to w swoim „Memoryale“ sam ks. Imeretinskij, mówiąc: „Prawodawstwo ogólnopaństwowe zarówno z treści swej, jak i co do szybkości rozwoju stara się stosować do potrzeb rosyjskiego życia przemysłowego, które na ogół zawiera mniej komplikacyi, aniżeli na zachodzie Europy. To też nasze prawodawstwo fabryczne w porównaniu z zachodnio-europejskiem rozwija się daleko wolniej. Ale jeśli ten rozwój powolny nie daje się odczuwać w środkowych i wschodnich guberniach cesarstwa, to z drugiej strony w niektórych okręgach naszej kultury przemysłowej życie idzie krokami tak szybkimi naprzód, że względem tych okręgów prawodawstwo nasze okazuje się już znacznie zacofanem. W takich mianowicie niepomyślnych warunkach znajduje się kraj Nadwiślański“ (str. 31, wyd. I). Na tym więc przykładzie, jak zresztą na tysiącu innych, widzimy, jak nam ciąży zależność od Rosyi. To też hasłem naszem jest: chcemy sami sobą rządzić, chcemy niepodległości kraju!

Res.

Walka o swobodę prasy w Anglii

Krępowanie wolności prasy, swobody druku, zjawiło się wszędzie nieomal jednocześnie z ukazaniem się sztuki drukarskiej. Coprawda nawet przed wynalezieniem drukarstwa odważny pisarz, wypowiadający poglądy nieprzyjemne dla warstwy panującej, narażał się na prześladowania. Tak naprzykład surowo byli ścigani pisarzy heretyccy, zagrażający panowaniu duchowieństwa katolickiego. Zresztą pisarz średniowieczny musiał się liczyć nieraz i z władzą świecką. Przeglądając kroniki, prowadzone przez mnichów angielskich w czasie wojen domowych w tym kraju, widzimy, że zdania niepochlebne o jakimś księciu, wyskrobywano i zamieniano na pochwały, gdy książe ten lub jego rodzina doszli do władzy. Robiono to z obawy, że taki książe czy jego krewny, odwiedzając klasztor, zajrzy do biblioteki, znajdzie w rękopisie kroniki ustęp nieprzyjemny i mścić się będzie na pisarzu albo i na całym klasztorze. Jednak dopókąd istniały książki tylko pisane, były one dostępne dla bardzo małej liczby ludzi, mogących przepisać je sobie albo zapłacić wysoką sumę za ich przepisanie. Nie mogły one wywierać wpływu na szersze masy ludności, a więc nie były zbyt niebezpieczne ani też nie łatwo było skontrolować ich rozpowszechnianie.

Inaczej poszły sprawy po wynalezieniu drukarstwa. Odtąd każda myśl, każde słowo pisarza mogło rozchodzić się wśród setek i tysięcy ludzi. Panujący, a zwłaszcza księża, którzy jak ognia bali się swobodnej myśli, zrozumieli niebezpieczeństwo i pośpieszyli nałożyć więzy na prasę drukarską.

Do Anglii drukarstwo wprowadzono w końcu XV wieku (w 1459 roku czcionki drewniane, w 1471 r. czcionki metalowe). Odrazu też zjawiła się cenzura prewencyjna, to jest każda książka przed wydrukowaniem musiała być oddawana do przeglądania cenzorowi, i drukować było wolno tylko to, na co cenzor pozwolił. Cenzorami byli początkowo księża katoliccy. Gdy wszakże w 1535 r. — prawie w 50 lat po wprowadzeniu drukarstwa — Anglia oderwała się od kościoła rzymsko-katolickiego (patrz „Światło“ N⁰ 4 str. 152), to cenzura przeszła do rąk świeckich, i przedewszystkiem pod kierunek króla, który stał się głową nowego kościoła — anglikańskiego.

Srogi ucisk prasy rozpoczął się w Anglii po wstąpieniu na tron królowej Elżbiety (która panowała od 1558 do 1603 r.). Ówcześni pisarze purytańscy (patrz „Światło“ N⁰ 4 str. 153) dawali się mocno we znaki zarówno królowej, która usiłowała rządzić samowolnie, jak i jej urzędnikom — biskupom. Parlament, powolny monarchini, wydał więc prawo, grożące karą śmierci za drukowanie „buntowniczych broszur przeciwko rządowi królowej“. Ciężkie kary groziły nawet za samo przechowywanie wydawnictw, przeciwnych ówczesnym rządom i panującemu kościołowi anglikańskiemu, wydawnictw zarówno purytańskich, jak i katolickich. Coprawda grube dzieła, dostępne tylko dla ludzi bogatych i bardziej wykształconych, mniej surowo ścigano, ale zato z całą wściekłością zwrócono się właśnie przeciwko broszurom

ludowym. W kilku wypadkach istotnie wieszano ludzi, podejrzanych o drukowanie i rozpowszechnianie tych broszur. Ale prześladowania takie nie wystarczyły : rewolucyjne wydawnictwa wciąż się ukazywały i rozpowszechniały. Do gruntownego zaradzenia temu niebezpieczeństwu zabrała się Rada królewska (mianowana przez królowę, nie zaś wybierana, jak parlament). Wydała rozporządzenie, pozwalające na utrzymywanie i zakładanie drukarń tylko za specyalnym patentem (tak samo jak teraz w Rosyi!) i tylko w Londynie oraz 2 innych miastach. Przytem na przyszłość ograniczono ilość drukarń do 20, a odlewni czcionek do 4. Obok tego obostrzono przepisy o cenzurze prewencyjnej. Drukarzowi, nie mającemu patentu, groziła kara 1 roku więzienia, a za drukowanie książki bez cenzury — chociażby najniewinniejszej treści — karano 3 miesiącami więzienia. Oczywiście buntowniczą treść sądzono osobno i skazywano zato — jak mówiliśmy — nieraz nawet na śmierć. Ale i to nie pomagało. Purytanie założyli tajną drukarnię, która przed pogonią szpiclów królowej ukrywała się, wędrując po całym kraju, i drukarni tej słudzy Elżbiety tak samo nie potrafili wytropić, jak żandarmi rosyjscy nie mogą sobie dać rady z drukarnią „Robotnika“.

Jeszcze cięższem dla prasy angielskiej było panowanie następujących po Elżbiecie dwóch królów z dynastyi Stuartów. Elżbieta rządziła nieraz samowolnie, ale wiedziała, na co sobie można pozwolić, a czego należy się wystrzegać. Miała też parlament zwykle po swej stronie. Tymczasem Stuarci wypowiedzieli walkę parlamentowi i chcieli rządzić za pomocą nominowanej przez siebie Rady, ta sama Rada (znana pod nazwą „Izby Gwiazdzistej“) miała być i najwyższym sądem, zwłaszcza w przestępstwach politycznych. Każdy, kto ośmielił się krytykować rząd — osobliwie drukiem, narażał się na pręgierz, ćwiczenie rózgami, piętnowanie rozpalonem żelazem, ucinanie uszy, bezterminowe więzienie, niesłychane kary pieniężne, wreszcie nawet na karę śmierci. Pomimo tego prasy nie można było zdławić : przeciwnie, walka między władzą królewską a parlamentem żywo zajmowała umysły szerokich mas; wszyscy chcieli dokładnie wiedzieć, o co idzie w tej walce, i jak stoją sprawy; popyt na literaturę ciągle wzrastał; za panowania pierwszego ze Stuartów (w 1622 r.) powstała pierwsza gazeta (tygodniowa) angielska.

Walka Stuartów z parlamentem skończyła się rewolucyą, porażką władzy królewskiej, jedenastoletnimi rządami republikańskimi. Republika miała do walczenia z mnóstwem wrogów; istnienie jej było bardzo niepewne, czego najlepszym dowodem jest, że po 11 latach Anglia znowu wróciła do rządów monarchicznych. Otóż na wojnie trudno jest szanować broń śmiertelnych wrogów; taką bronią przeciwko republice była prasa monarchistów. Nic też dziwnego, że republika nie złagodziła praw, krępujących prasę. A jednak prasa na rewolucyi dużo zyskała, bo rewolucya zniosła i prawie zupełnie uniemożliwiła sądy „Izby Gwiaździstej“ i jej podobnych trybunałów. Odtąd przestępstwa prasowe sądzone były przez przysięgłych. Przytem, chociaż prawa pozostały te same, nie stosowano ich z takiem okrucieństwem jak dawniej. Prasa polityczna w czasie republiki doszła do nieznanego przed-

tem rozkwitu: w Muzeum Brytańskiem przechowało się do dziś przeszło 30.000 broszur politycznych z owych czasów, a niektóre z nich — chociaż wydawane jawnie — występowały nader ostro przeciwko republice. Z partyi ówczesnych żadna nie doszła jeszcze do żądania swobody prasy dla wszystkich, każda chciała jej tylko dla siebie. Jednak właśnie z obozu republikańskiego wyszedł pierwszy głos w obronie powszechnej wolności słowa drukowanego, była to gorąco napisana rozprawa żarliwego republikanina (a zarazem jednego z największych poetów angielskich) Miltona.

Z powrotem Stuartów na nowo rozpoczęły się ciężkie czasy dla wydawców i drukarzy. Ale po 25 latach Stuartów znowu wypędzono a w 1695 r. gdy parlamentowi zaproponowano przedłużyć działanie praw, ograniczających swobodę zakładania drukarń, oraz prawo o cenzurze prewencyjnej, to parlament projekt ten odrzucił. W ten sposób przeszło 300 lat temu w Anglii zrzucono z prasy kajdany, które w Rosyi krępują ją do dziś!

Dużo okoliczności złożyło się na ten skutek. Coprawda żadna z ówczesnych partyi — jak mówiliśmy — w gruncie rzeczy nie chciała swobody słowa dla wszystkich, lecz tylko dla siebie. Ale w ciągu XVII wieku w Anglii było tyle krwawych walk politycznych, tyle razy u steru władzy zmieniały się partye panujące, że żadna partya nie była pewna jutra: „co dziś tobie, to jutro mnie“ — tak musiał myśleć każdy polityk ówczesny, a wobec tego zaczynał się przejmować chrześciańską zasadą: „nie czyń drugiemu, co tobie nie miło“. Dalej — żadna cenzura nie mogła nic wskórać przeciwko rozwojowi tajnych drukarń. A drukarń tych w Anglii XVII wieku namnożyło się bez liku. Kto chciał wydać coś nieprzyjemnego rządowi, ten szedł do tajnej drukarni; a kto oddawał swe druki do drukarni jawnej i poddawał się cenzurze, ten widocznie nie miał zamiaru szkodzić rządowi. Przytem cenzorowie ówcześni (jak dzisiejsi urzędnicy rosyjscy) nie pogardzali łapówką. W ten sposób cenzura zupełnie nie odpowiadała swemu przeznaczeniu. Oto jak opisuje owe czasy jeden z historyków angielskich: „Prawo... o cenzurze... wciąż jeszcze istniało... Coprawda urzędnicy, mający przestrzegać tego prawa, niezbyt natrętnie pilnowali uchylań się od prawa, popełnianych przez księgarza, który znał się na sztuce wsuwania gwinei (10 rubli) przy uścisku dłoni. Ale swoją drogą żaden cenzor nie mógł pobłażliwie patrzeć na jawną sprzedaż nielegalnych broszur, zapełnionych rubasznemi wymyślaniami na króla i otwartemi wzywaniami do buntu. Jednak na poddaszach Londynu oddawna zagnieździł osobny rodzaj drukarzy, którzy stale pracowali w swym fachu z zachowaniem ostrożności, używanych zwykle przez fałszerzy monety. Kobiety stały na straży i natychmiast alarmowały pracujących, gdy w pobliżu warsztatu ukazał się jakiś urzędnik. Wtedy w oka mgnieniu chowano prasę do skrytki w ścianie za łóżkiem, wrzucano czcionki do węgli i posypywano je popiołem, zecer znikał przez otwór w suficie i uciekał po dachach sąsiednich domów. Z tych kryjówek ukazywały się buntownicze wydawnictwa wszelkiego rodzaju i wielkości, zaczynając od groszowych świstków z wierszami,

a kończąc olbrzymimi tomami. Niebezpiecznem było wystawiać takie wydawnictwa na sprzedaż, otwarcie na stole księgarskim. Sprzedawano je przez zaufanych ajentów i pokryjomu. Proklamacye i świstki, które mogły wywrzeć większe wrażenie, rozdawano w ogromnych ilościach... Czasami podrzucano je pod drzwi, to znów rozrzucano po stołach w kawiarni. Nieraz tysiąc egzemplarzy podburzającej broszury szło w świat w jednej skrzynce pocztowej. Kiedyindziej znowu kupcy, otwierając sklepy z rana, widzieli całą Fleet Street i Strand*), pokryte buntowniczemi odezwami jak śniegiem".

Tak więc cenzura nie była w stanie zatamować swobody słowa, ale zato ogromnie krępowała swobodę handlu księgarskiego. To też do parlamentu nieraz przychodziły petycye od księgarzy, drukarzy i introligatorów, żądające zniesienia tych ograniczeń. A ówczesny parlament angielski już w znacznej części składał się z przedstawicieli handlu, czułych na interesy swej klasy. W rozprawach parlamentu z owych czasów nie widzimy żadnych dowodzeń o potrzebie wolności myśli, a zato jednym z poważniejszych dowodów przeciwko cenzurze, było, że książki, przychodzące do Londynu z zagranicy, muszą zbyt długo leżeć na komorze, czekając na cenzurę, a przez ten czas wilgotnieją i psują się

Jakiekolwiek zresztą były pobudki parlamentu, uchwała, znosząca cenzurę była krokiem ważnym i pożytecznym. Natychmiast zaczęły powstawać, jak grzyby po deszczu, gazety. W 1709 r. ukazała się w Anglii pierwsza gazeta codzienna. Gazety szybko stały się niezmierną potęgą, i wkrótce rozległy się w parlamencie skargi na ich „swawolę", na ogłaszanie wiadomości „fałszywych" albo „szkodliwych". Im szerzej rozchodziły się gazety, tem głośniejsze stawały się owe skargi. Zjawili się wreszcie w parlamencie amatorzy przywrócenia cenzury specyalnie dla gazet. Ale było już zapóźno. Ci nawet członkowie parlamentu, którzy jak najgłośniej wyrzekali na „bezczelność" gazeciarzy, nie chcieli pozbyć się na czas wakacyi parlamentarnych jedynego źródła, z którego mogli czerpać świeże wiadomości londyńskie. Cenzury nie przywrócono, ale wymyślono w 1712 r. nowy sposób skrępowania prasy : stempel dziennikarski, wysoki podatek, płacony od każdego numeru gazety. Ten najwstrętniejszy ze wszystkich podatków, podatek na myśl ludzką, na oświatę, dopiął odrazu zamierzonego przez panującą burżuazyę celu. Jednym zamachem uniemożliwił on istnienie znacznej części gazet, i to właśnie gazet tanich, przeznaczonych dla warstw ubogich, pracujących. Burżuazya, mogąca płacić wysokie ceny, zachowała swoje pisma.

Zniesienie cenzury nie znaczyło bynajmniej, że nadal wolno pisać o wszystkiem i pisać wszystko, co się podoba. Owszem, dzikie, barbarzyńskie prawa, zakazujące — często pod karą śmierci — pisać przeciwko rządowi i przeciwko religii, pozostały na razie w całej sile. W 1719 r. powieszono autora broszury, której treść wskazuje sam ty-

*) Fleet Street i Strand — dwie długie ulice idące przez sam środek Londynu, jak Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat w Warszawie.

tuł: „Głos ludu — głos Boga, czyli prawdziwe zasady rządu, dowodzące, że król, ministrowie i cały rząd pochodzą z woli ludu“.

Teraz więc w walce o wolność prasy szło o trzy rzeczy: po pierwsze — o skasowanie wielu praw, uznających za zbrodnię pisanie i ogłaszanie o tem lub owem; po drugie — o złagodzenie kar za przestępstwa prasowe; po trzecie — o zniesienie stempla dziennikarskiego. O te trzy rzeczy walczono w ciągu półtorasta lat. Walczono rozmaicie: albo — w drodze prawnej, prowadząc bez końca procesy pomimo strasznych kosztów sądowych; albo — drukując i wydając na swoją odpowiedzialność rzeczy zakazane bez względu na skutki; albo — uciekając się do tajnych drukarń; albo wreszcie usiłując przeprowadzić pewne reformy w parlamencie.

Do końca XVII wieku trzeba było o swobodę prasy walczyć z władzą królewską albo z samowolą urzędników królewskich: w tej walce osiągnięto dwa zwycięstwa: zniesienie trybunałów specyalnych i oddanie wszystkich spraw prasowych pod sąd przysięgłych oraz zniesienie cenzury. Teraz walczyć trzeba było z samowolą sędziów i parlamentu, walczyć przeciwko sędziom i przeciwko narazie całemu parlamentowi, a potem przeciwko części parlamentu.

Najcięższym z zakazów, ograniczających swobodę druku, był zakaz drukowania sprawozdań z posiedzeń parlamentu. Ma się rozumieć, gdy od końca XVII wieku cała władza w Anglii przeszła w ręce parlamentu, ludność zaczęła jeszcze żywiej niż przedtem zajmować się obradami parlamentu. Tymczasem parlament, składający się z przedstawicieli burżuazyi i wybrany przez burżuazyę, nie zaś przez powszechne głosowanie, nie chciał odpowiadać za swe czyny przed ludem. Przeciwnie, ci niby „przedstawiciele ludu“ chcieli rządzić ludem bardziej jeszcze despotycznie, niż królowie. Pomiędzy innemi zajadle bronili tajności swych obrad. Przywilej, na mocy którego rozprawy parlamentu pozostają w tajemnicy, a ogłasza się tylko ich rezultat — uchwalone prawo, przywilej ten był kiedyś tarczą swobody przeciwko królom. Król nie mógł, nie powinien był wiedzieć, kto jak przemawiał, kto jak głosował, bo w przeciwnym razie mściłby się na tych, którzy przemawiali albo głosowali nie podług jego myśli. Ale w XVIII w. niebezpieczeństwa ze strony władzy królewskiej dla parlamentu angielskiego już nie było, tymczasem parlament chciał ów przywilej zachować, zapewnić sobie bezkarność wobec wyborów i opinii publicznej. Gazety swoją drogą sprawozdania drukowały; przytem, ponieważ reporterów do sali parlamentu nie puszczano, więc nikt nie mógł spisywać mów odrazu. Gazety musiały starać się o opowiadania przebiegu rozpraw od różnych deputowanych. Oczywiście „zdrajcę“ owego przywileju z łatwością wśród deputowanych znajdowano, ale zato taki „zdrajca“ zwykle starał się przy tem zrobić osobisty lub partyjny interes: ubarwiał opowiadanie na korzyść swoją lub swej partyi, a w śmiesznem lub wstrętnem świetle przedstawiał mowy i głosowania swych przeciwników osobistych czy partyjnych. Zresztą nikt — nawet przy najlepszej woli — nie mógłby długich rozpraw parlamentarnych przedstawić z pamięci dokładnie. Tembardziej zatem drukowanie rozpraw prze-

kręconych drażniło parlament. Wzywano więc dziennikarzy przed oblicze parlamentu, kazano im słuchać wymyślań na kolanach, zamykano do więzienia... Wtedy gazeciarze brali się na sposób: drukowali owe sprawozdania pod tytułem opowiadań o posiedzeniach starożytnego senatu rzymskiego. Deputowanych nazywano przytem imionami starożytnych rzymian, ale dobranemi w ten sposób, że każdy z łatwością mógł je odgadnąć. Na dobitkę i lud londyński ujmował się za krzywdzonymi drukarzami: w 1771 r. sędziowie „City" londyńskiej (śródmieścia Londynu) uwolnili drukarzy, aresztowanych przez parlament, a natomiast kazali wsadzić do więzienia woźnych parlamentu, którzy owych drukarzy aresztowali. Parlament rozkazał zato uwięzić sędziów. Lud londyński rzucił się do ich obrony, wynikły rozruchy, rozbito przytem karetę pierwszego ministra i jego samego mocno poturbowano. Odebrało to parlamentowi ochotę do dalszego obstawania przy swym przywileju. Odtąd wolność drukowania sprawozdań parlamentu była zapewnioną, chociaż w pewnych szczegółach została ona ostatecznie zatwierdzoną dopiero znacznie później.

Inne prawa, ograniczające swobodę prasy, były — i są w znacznej mierze do dziś — w Anglii bardzo nieokreślone, niejasne. Kara groziła — i grozi do dziś — za „wydawnictwa buntownicze, bluźniercze lub potwarcze". Ale co należy uważać naprzykład za „wydawnictwo buntownicze"? To, co jedna partya uważa poprostu za słuszną krytykę nadużycia rządowego, to inna partya, w danej chwili mająca większość w parlamencie, gotowa jest — a zwłaszcza w XVIII wieku gotowa była — uważać za „wzywanie do buntu". Otóż przy takim stanie prawodawstwa prasowego bardzo dużo zależało na tem, kto owe prawa ma stosować, kto ma sądzić. Coprawda, jak mówiliśmy, już od końca XVII wieku przestępstwa prasowe — jak i wszystkie inne — szły w Anglii pod sąd przysięgłych. Ale chodziło o to, co mają rozstrzygać przysięgli, a co należy do sędziego koronnego. Otóż sędziowie koronni starali się gwałtem wpoić w przysięgłych przekonanie, że do nich — do przysięgłych należy tylko rozstrzygnąć, czy oskarżony jest rzeczywiście autorem lub wydawcą jakiegoś wydawnictwa. Czy zaś istotnie to wydawnictwo jest buntownicze, to chcieli sędziowie koronni sami rozstrzygać, ma się rozumieć, zwykle ze szkodą oskarżonego. Jednak i ta sztuczka się nie udała: przysięgli w tych wypadkach po prostu zgóry uniewinniali oskarżonego, chociaż nieraz gdyby mieli możność rozstrzygania o treści wydawnictwa, to możeby zupełnie inaczej postąpili. Procesów tego rodzaju było w końcu XVIII wieku takie mnóstwo (w ciągu 30 lat przeszło 200), tyle przytem było skandalów i sromotnych porażek dla sędziów koronnych, i dla kierującego nimi rządu, że wreszcie (w 1792 r.) parlament uchwalił prawo, na mocy którego przysięgli rozstrzygają również i o treści wydawnictwa.

Odtąd wynik oskarżenia o przestępstwo prasowe najzupełniej zależy od zdania przysięgłych. Odtąd wywalczanie swobody dla prasy polegało przedewszystkiem na wyrabianiu wśród społeczeństwa poszanowania dla każdej szczerej myśli, dla każdej opinii politycznej czy też religijnej. Kto w życiu codziennem umie znieść różnice przekonań

u swego otoczenia, ten i na ławie przysięgłych nie będzie widział zbrodni w wypowiadaniu poglądów, na które sam się zgodzić nie może. Wyrabiając w społeczeństwie tolerancyę, poszanowanie dla swobody przekonań, wychowywano zarazem wolnomyślnych sędziów przysięgłych. A do wyrobienia w tym duchu opinii społecznej była jedna tylko droga: szerzyć swe przekonania bez względu na to, czy one podobają się warstwom panującym, bez względu na prześladowania. To ciężkie, męczeńskie zadanie przypadło w udziale w Anglii XIX wieku, a nawet już od końca XVIII wieku, głównie klasie robotniczej. Najlepszy znawca dziejów angielskiej konstytucyi XIX stulecia (Lord Farnborough) — chociaż burżuj ze swego stanowiska i ze swych przekonań — powiada: „Rząd pokonał wszystkich przeciwników... zdławił prasę, stłumił dyskusyę publiczną... Ale... jego panowanie stopniowo słabnie i ustępuje przed wzmagającą się potęgą i oświatą ludu. Klasy robotnicze szybko rosną co do liczby, środków i wiedzy. Handel i przemysł skupiają je w wielkich masach, nadają im łączność i siłę. Wykształcenie rozpowszechnia się, a niezadowolenie przyśpiesza postępy badania stosunków politycznych. Prasa przyczynia się do oświaty ludu. Nawet demagodzy (to jest rewolucyjni agitatorzy), którzy prowadzili lud na bezdroża, wzbudzali w nim żądzę wiedzy i miłość swobody“.

Ci to „demagodzy“, o których z przekąsem odzywa się lord Farnborough, musieli ofiarą często swej wolności, a nieraz i życia, oswoić klasy panujące w Anglii z tem, że robotnicy mogą mieć własne poglądy, ba i to poglądy wręcz sprzeczne z poglądami burżuazyi, że i tym poglądom należy się swoboda druku.

Walka o swobodę druku, prowadzona w interesie klas robotniczych, musiała się skierować przedewszystkiem przeciwko podatkom, ciążącym na prasie, podatkom, które były powodem niezmiernie wysokich cen gazet. Do 1836 r. przeciętna cena gazety angielskiej wynosiła 28 kopiejek; składało się na to 16 kopiejek stempla od każdego egzemplarza 12 kopiejek od każdego funta papieru i wysokie podatki od każdego ogłoszenia. Żeby dać pojęcie, co to znaczyło, powiemy tylko, że w takich warunkach od każdego numeru „Światła“ musielibyśmy płacić przeszło 350 rubli podatku. Ma się rozumieć, że wtedy „Światła“ wcale byśmy wydawać nie mogli.

Założone w 1836 r. „Londyńskie Towarzystwo Robotnicze“ postawiło sobie na początek za główne zadanie — agitacyę przeciwko stemplowi dziennikarskiemu. Założone przez robotników, Towarzystwo to wkrótce pozyskało dla swych celów zwolenników i wśród lepszych jednostek z burżuazyi. Dopięto tego olbrzymiemi zgromadzeniami, na których mówcy gorąco piętnowali haniebne prawo, zamykające klasie robotniczej drogę do oświaty. Ale bardziej jeszcze skutecznym sposobem propagandy było tajne wydawanie gazet bez stempla. W ten sposób dowodzono nietylko szkodliwości, lecz i bezsilności prawa o stemplu.

Na tem polu odznaczył się zwłaszcza Hetherington, zecer. Już w październiku 1830 r. rozpoczął on wydawać bez stempla tygodnik pod tytułem „Pensowa (4-kopiejkowa) Gazeta dla Ludu“. Z końcem

roku tytuł gazety zmienił się na bardziej jeszcze wymowny: „Obrońca Ubogich, pismo założone wbrew prawu, by wyprobować potęgę sprawiedliwości przeciwko przemocy“. Odpowiednią do tytułu była też i treść. Przez cały czas walki o reformę wyborczą Hetherington piętnował parlament burżuazyjny jako „maszynę do wyciskania podatków“, monarchię jako „kosztowną szopkę, którą należy odrazu zamknąć“, armię stałą jako „rzeźników ludzi“, wzywał do skreślenia długu państwa, jako zaciągniętego na cele, z którymi lud nie ma nic wspólnego i t. p. Drogę do przeprowadzenia wszystkich tych reform i do zniesienia nierówności majątków widział on „w walce krwawej, ale — gdy cały lud pracujący weźmie w niej udział — krótkiej“. Oczywiście księgarze nie chcieli mieć nic wspólnego z wydawnictwami Hetheringtona: sam więc on zebrał sobie gromadę kolporterów, którzy sprzedawali „Obrońcę Ubogich“ na ulicy albo chodząc od domu do domu. Dzięki ogólnej swobodzie angielskiej, walka policyi z Hetheringtonem łatwą nie była: trudno było złapać zarówno Hetheringtona jak i jego kolporterów z dowodami „zbrodni“. Drukować dla swej osobistej przyjemności — bez stempla — mógł każdy, nie wolno było tylko rozpowszechniać takich wydawnictw. Policya więc czatowała przed domem Hetheringtona na tragarzy, wynoszących paki gazety. Gdy ci się ukazywali, niosąc pakę z napisem olbrzymiemi literami „Obrońca Ludu“, policya rzucała się na nich. Ale tragarze nie dawali za wygranę i między nimi a szpiclami zaczynała się bójka. Wreszcie szpicle zwyciężali i z tryumfem otwierali pakę, w której okazywał się — czysty papier. Tymczasem w ciągu bójki świeży numer wyniesiono tylnemi drzwiami i — szukaj wiatru w polu! Inny wydawca również niestemplowanego pisma robotniczego Cleave (pierwotnie majtek, potem zecer) urządzał się inaczej: sąsiedni z jego drukarnią dom wynajęty był przez jakiegoś towarzysza; oba domy łączyły się drzwiami, pokryjomu wybitemi w murze, i w domu towarzysza co tydzień trafiały się pogrzeby: w trumnach uroczyście wynoszono świeży numer gazety.

Nie zawsze jednak udawało się oszukać policyę. W ciągu 5 lat istnienia „Obrońcy Ludu“ uwięziono za jego rozpowszechnianie 500 osób w różnych okolicach kraju. Sam Hetherington trzy razy musiał odsiadywać długie kary. Cleave siedział w więzieniu dwa razy. Inny z bojowników wolnej prasy robotniczej, Carlile, był więziony cztery razy: dwa razy po 3 lata, a raz przez półtora roku i raz przez cztery miesiące.

Jednak prześladowania nic nie pomagały, tajne gazety niestemplowane rozchodziły się coraz szerzej; tak naprzykład tygodnik, redagowany przez Carlile'a, sprzedawał się w 22 tysiącach egzemplarzy. Ogółem około 1836 r. wychodziło w Anglii przeszło 150 takich gazet. Nic dziwnego, że opinia publiczna musiała się z niemi oswoić. W 1834 roku sąd przysięgłych uniewinnił Hetheringtona, którego znowu skarżono o „przestępne krzywdzenie skarbu państwa“. Po tym wyroku przysięgłych nie ulegało już żadnej wątpliwości, że podatku na oświatę nie da się długo utrzymać Do agitacyi przyłączyli się wreszcie i nakładcy „legalnych“ gazet burżuazyjnych, którzy tracili na konkurency

tańszych gazet tajnych. Podatki owe parę razy zmniejszano, w końcu zniesiono zupełnie stempel dziennikarski w 1855 r., a podatek na papier w 1861 r.

Jakie jest obecnie położenie prasy w Anglii? Podług orzeczeń najbardziej poważnych sędziów angielskich, swoboda prasy w Anglii „polega na wolności drukowania bez żadnego specyalnego pozwolenia — wszystkiego z warunkiem odpowiadania za to przed sądem“. Sądem tym jest sąd przysięgłych; w ten sposób „anglik wie, że może wszystko pisać, czego choć jeden z dwunastu jego współobywateli, posadzonych na ławie przysięgłych nie uzna za występne“ („Światło“ N⁰ 4, str. 196).

Jest to na pozór bardzo mało. W Anglii niema żadnego specyalnego prawa, zapewniającego wolność prasy, jak np. w Belgii, gdzie artykuł 18-ty konstytucyi powiada wyraźnie „prasa jest wolną“. To samo jest i w wielu innych krajach. Tymczasem Anglia obchodzi się bez takiego prawa, owszem zachowała — chociaż złagodzone — dawne prawa, karzące za „wydawnictwa buntownicze, bluźniercze lub potwarcze“.

Otóż musimy przyznać, że prawa, ścigające potwarz, w Anglii są do dziś bardzo surowe, kary pieniężne — niesłychanej gdzieindziej wysokości. Niedość tego, wyroki są nieraz wprost bez sensu. Jako przykład przytoczę następujący wypadek z największą gazetą angielską „Times“. W opisie jakiegoś zajścia ulicznego reporter między świadkami wymienił nazwisko pewnej damy. Rzecz się działa o 4 godz. po południu. Tymczasem zecer przez omyłkę wydrukował „4 godz. rano“. Wypadało z tego niby, że owa dama była na ulicy, — jeśli kto chce jaskrawo się wyrazić — włóczyła się po ulicy — o 4 rano. Nikt tego zapewne by nie zauważył, ale — dama spostrzegła i wytoczyła proces o potwarz. „Times“ proces przegrał i musiał zapłacić wysoką karę. Wypadków tego rodzaju jest dużo, i dziennikarze gorzko się na nie użalają. Zdarza się, że ludzie poprostu polują na sposobność do wytoczenia procesu — ma się rozumieć, jakiemuś pismu bogatemu, mogącemu płacić. Ale wady prawodawstwa pod tym względem odczuwają prawie tylko dziennikarze; szerszych mas ludności to niewiele obchodzi: przeciwnie, anglik cieszy się z tego, że jego życie prywatne zabezpieczone jest przeciwko zbytniej ciekawości gazeciarzy. Tylko więc parlament zastrzegł sobie pod tym względem bezkarność dla swoich wydawnictw. Gdy w 1836 r. jakiś członek parlamentu nazwał wydawnictwa pewnego księgarza „sprośnemi i nieprzyzwoitemi“, i zostało to wydrukowane w sprawozdaniach urzędowych z posiedzeń parlamentu, to ów księgarz zaskarżył drukarza parlamentu o „potwarz drukiem“. Parlament naturalnie bronił swego drukarza. Wynikła z tego zawiła sprawa, parlament ciągle przegrywał, powstał długi zatarg między sądami a parlamentem. Dopiero uchwalenie nowego wyraźnego prawa bezkarności dla wszystkich wydawnictw parlamentarnych uniemożliwiło powtarzanie się podobnych zajść.

Co do wydawnictw „buntowniczych i bluźnierczych“, to teraz już nigdy prawie w Anglii nie zachodzi potrzeba obawiać się prześladowań za nie. Mówimy tu wogóle tylko o Anglii samej: w krajach

podbitych i ujarzmionych jak Irlandya i Indye, rząd angielski umie pokazać pazury. Zdarzają się, coprawda, i w Anglii samej wypadki, które mogą się wydawać zamachem na swobodę prasy. Takim wypadkiem było w zeszłym roku skazanie emigranta-rewolucyonisty rosyjskiego, Burcewa, na 18 miesięczne więzienie za wydawnictwo, w którem Burcew wzywał do zabicia cara rosyjskiego. Ale żeby ocenić znaczenie tego wyroku, dodajmy, że cała sprawa Burcewa była prowadzona w sądzie dość nieudolnie. Ma się rozumieć, w żadnym kraju przy największej swobodzie, chociażby w socyalistycznej republice polskiej, opinia publiczna, a zatem i sąd przysięgłych, nie zgodzi się nietylko na bezkarne zabijanie ludzi, ale i na bezkarne namawianie do zabójstwa. Ale to jest zasada ogólna, z której możliwe są wyjątki. Są ludzie, których opinia angielska nie uważała albo nie uważa za ludzi; których nawet zabicie nie uważanoby tu za zbrodnię, lecz za czyn bohaterski. W swoim czasie angielski sąd przysięgłych uniewinnił wydawcę broszury, wzywającej do zabicia cesarza Napoleona III. Niedawno — w czasie prześladowań ormian w Turcyi, wiele gazet angielskich bezkarnie wzywało do zabicia sułtana tureckiego. Trzeba więc było postarać się przekonać publiczną opinię Anglii, że car rosyjski jest takim samym wyrzutkiem ludzkości, jak Napoleon III lub sułtan Abdul Hamid. Tego nie zrobiono, i Burcew do dziś zato cierpi.

Bywają i dziś wypadki, że z tych lub owych pobudek policya angielska skarży do sądu wydawcę jakiejś książki naukowej, zwykle pod zarzutem „niemoralności i nieprzyzwoitości“. Wtedy natychmiast zbiera się gromadka ludzi dla obrony wolności słowa. Urządzają się wielkie zebrania, i na nich oświeca się opinię publiczną, przygotowuje umysły przyszłych sędziów przysięgłych. Płyną zewsząd składki na koszty procesu. W agitacyi dla obrony wolności druku biorą udział nawet ludzie, potępiający treść danej książki. W ten sposób swoboda, zdobyta w drodze walki, czujnie jest strzeżoną do dziś.

W tym kraju wyrobiła się dziś taka tolerancya dla rozmaitych opinii politycznych, że następca tronu nie waha się dać sowity datek pieniężny, gdy go do składki zaprosi redakcya tygodnika republikańskiego („Reynolds' Newspaper“), tego samego pisma, które w każdym numerze nietylko wzywa do obalenia monarchii, ale i wymyśla od ostatnich wszystkim członkom rodziny panującej.

Robotnicy polscy we wszystkich trzech zaborach mogą tęsknić do porządków angielskich, przy których niema żadnej cenzury, żadnych procesów o obrazę majestatu i pobudzanie nienawiści klasowych, przy których niema stempla dziennikarskiego, a do sprzedawania wydawnictw nie potrzeba ani patentów ani opłaty podatku. Ale anglicy doszli do tego drogą długiej walki. Walka ta dłużej trwała, niż gdzieindziej, bo Anglia nie miała przed sobą żadnych przykładów swobody w innych krajach, — sama była dla innych państw przewodnikiem po drodze wolności. Jednak pod pewnymi względami walka była tu i lżejszą, bo samowoli rządu, despotyzmowi biurokracyi i policyi anglicy położyli koniec już w Wielkiej Rewolucyi 1649 r.

A my, polacy, powinniśmy pamiętać też o tem, że swobody angielskie tylko nieznacznie osłabiają ucisk, panujący w krajach, podbitych przez Anglię. Co się działo i dzieje do dziś w Irlandyi i w Indyach, o tem opowiemy w jednym z następnych numerów „Światła“.

B. A. J.

WŁOSKIE PARTYE POLITYCZNE

W ciągu całego roku ubiegłego obchodzono we Włoszech pięćdziesiątą rocznicę ogłoszenia S t a t u t o (statutu). Święcono ją mowami, przedstawieniami baletniczemi, bankietami, wystawami. A w uroczystości tej szczególnie wybitny udział wzięli nasi urzędnicy i rodzina królewska, bo — jak powiadano w uroczystych mowach — Statut został nadany ludowi przez króla Karola Alberta. Ale historya mówi co innego. Zobaczmy, jak z tem było w rzeczywistości.

Cofnijmy się wstecz, do 1821 r. Włochy były wówczas podzielone na kilka państewek, ale myśl o zdobyciu konstytucyi, a nawet zjednoczenia narodowego już rozpowszechniła się między burżuazyą. Burżuazya zrodziła się we Włoszech w XVI wieku, lecz wzmogła się i zdobyła sobie podstawy ekonomiczne — bogactwo — dzięki darowiznom, kradzieżom, łupiestwom, dokonanym za czasów wojen napoleońskich.

Uwolnienie własności od ograniczeń i ciężarów średniowiecznych, ograbienie i wywłaszczenie mas ludowych nie wystarczały burżuazyi : dążyła ona do pozbycia się wszystkich urządzeń, które — chociażby słabo — sprzeciwiały się jej zwycięskiemu rozwojowi. Zwłaszcza szkodliwem dla burżuazyi było polityczne i ekonomiczne rozdrobnienie Włoch. Kością w gardle stały jej różne rodziny królewskie, panujące w państewkach włoskich. Rodziny te darły koty między sobą, a jednocześnie poniekąd stały między ludem a burżuazyą i podsycały nienawiść między temi klasami, korzystając z waśni między niemi dla podtrzymania władzy królewskiej. Nie dość tego, dla ochrony swej władzy drobni panujący włoscy sprzeciwiali się rozwojowi dróg komunikacyi między państewkami i wewnątrz każdego państewka, a wreszcie tamowali krzewienie się myśli postępowej. Od początku bieżącego wieku dużo gadano o wytworzeniu związku politycznego i ekonomicznego (cłowego) między państwami włoskiemi. Związek taki dałby siłę i powagę zjednoczonej burżuazyi włoskiej, wprowadziłby ją jako godną siostrzycę do wszecheuropejskiej rodziny kapitalistycznej. Ale panujący włoscy ani na ten, ani na żaden inny sposób zadowolenia ambicyi burżuazyi włoskiej się nie zdobyli. To też burżuazya wściekała się ze złości i kilka razy rzucała się do rewolucyi.

W XIX w. Włochy są widownią najrozmaitszych ruchów rewolucyjnych : w r. 1820 i 1821 spiski t. zw. „węglarzy“, potem poruszenia republikańskie w r. 1848, wreszcie ruchy konstytucyjne w roku

1860. Cel ich jednak zawsze był ten sam : zdobycie władzy politycznej dla burżuazyi.

Ale czem była burżuazya włoska? W północnych Włoszech, a zwłaszcza w Lombardyi była to klasa średnia, oświecona i energiczna, a zarazem skupiająca w swem ręku znaczne bogactwa. Na południu przeciwnie, klasa ta składała się z kupców, spekulantów, którzy w burzliwych czasach nagromadzili sporo pieniędzy, uzyskali różne monopole i wzbogacili się sprzedażą dóbr narodowych po bardzo niskich cenach. Lud nienawidził tych spekulantów bardziej jeszcze niż dawną szlachtę.

Różnica taka między burżuazyą północnych a południowych Włoch prawie bez zmian istnieje do dziś.

Na północy nawet część arystokracyi zaczynała wykazywać dążenia do konstytucyi.

Lombardyę zaś, która wówczas należała do Austryi, rząd austryacki traktował jak kraj podbity i nawet odmawiał szlachcie włoskiej wyższych stopni w armii.

W r. 1821 w Piemoncie, państwie północnych Włoch, konstytucyonaliści utworzyli spisek wojskowy przeciwko panującej rodzinie królewskiej, tej samej, która obecnie panuje nad zjednoczonemi Włochami. Rząd piemoncki był również despotyczny, jak austryacki, a nawet jeszcze bardziej uległy wpływom ciemnego duchowieństwa. Ale jeden z członków rodziny królewskiej, książe Karol-Albert, nie zawahał się stanąć przeciwko swej rodzinie, a po stronie rewolucyi. Sądził on, że gdy w Piemoncie będzie ogłoszona konstytucya, to ludy innych państewek włoskich będą dążyły do połączenia się z Piemontem, pod berłem królów piemonckich. Miał przytem na widoku, że rewolucya zapewni mu tron, kierował się zatem tylko osobistą korzyścią. Ale bądź co bądź, jego intrygi mogły wyjść na korzyść Włochom. Gdy jednak wdał się w to rząd austryacki, i wojska austryackie pobiły rewolucyonistów włoskich, Karol-Albert zdradził sprawę rewolucyi tak samo, jak przedtem zdradził swoją rodzinę : wydał swych zwolenników - rewolucyonistów w ręce policyi i Austryi, a sam - na znak skruchy — pojechał do Hiszpanii, walczyć tam przeciwko tej samej konstytucyi, którą niedawno zaprowadzał w Piemoncie.

W 1831 r. ten sam Karol-Albert wstąpił z porządku dziedziczenia na tron, ale już nie myślał o konstytucyi. Jednak w 1848 r. rewolucya, która obleciała jak błyskawica całą Europę, zmusiła i króla Piemontu do dania konstytucyi swemu ludowi. Zmusiły go do tego groźne demonstracye, ale zresztą wszak konstytucyę można było ułożyć tak, by jak najmniej uszczuplała władzy królewskiej. A przytem Karol-Albert znowu zaczął liczyć na pozyskanie dla swego tronu serc mieszkańców innych części Włoch. W ten sposób pewnego pięknego poranku — 4 marca 1848 r. — ogłoszony został S t a t u t włoski, czyli konstytucya. Konstytucya ta była naśladowaną z konstytucyi belgijskiej, ale pod wielu względami znacznie była gorszą od belgijskiej.

Tymczasem na wyspie Sycylii, która należała do innego drobnego państewka włoskiego — do królestwa Neapolitańskiego — oraz w samym Neapolu lud powstał, król musiał też dać konstytucyę; ale gdy

oburzenie ludu ostygło, to konstytucyę neapolitańczykom odebrano, a rewolucyonistów wsadzono do więzienia. Wkrótce i w Medyolanie lud powstał przeciwko austryakom i w ciągu 5 pamiętnych dni wypędził armię najezdniczą z Radetzkim na czele.

Większość postępowców piemonckich popierała myśl związku państw włoskich na wzór amerykańskich Stanów Zjednoczonych; natomiast lud Medyolanu chciał republiki, Wenecya już ogłosiła rzeczpospolitą, a Parma, Modena, Reggio, Bolonia, Ankona, Rzym i Toskana skłaniały się ku republice. Ale szlachta i wielka burżuazya medyolańska oraz król piemoncki — Karol-Albert — chcieli czego innego, i w innym też celu burżuazya Medyolanu przywołała na pomoc Karola-Alberta. Szło im o przyłączenie Lombardyi do Piemontu i dokonali swego, każąc ludowi lombardzkiemu niby dobrowolnie głosować, że Lombardya ma być przyłączoną do Piemontu.

Jednak Karol-Albert, który zdradził lud już raz, zdradzał go w dalszym ciągu. Nie potrafił zachować kraju, wyzwolonego przez lud, i cofnął się z Lombardyi ze swą armią, oddając Medyolan Austryi. Nie dopiął swego celu, nie wcielił Lombardyi do swego królestwa, ale mógł się pocieszyć tem, że przeszkodził utworzeniu się republiki. Gdy dzika armia austryacka pod wodzą Radetzkiego wkraczała napowrót do Medyolanu, to drugą bramą opuszczał miasto Karol-Albert ze swą armią, a z nim sto tysięcy obywateli, uciekających przed zemstą austryaków.

* * *

Ale próby zjednoczenia Włoch bądź co bądź dokonano, i za pomocą intryg politycznych, za pomocą wojsk... cudzoziemskich sprzymierzonych, dzięki męstwu żołnierzy Garibaldiego, nadszedł dzień, gdy Statut Karola-Alberta rozszerzono na całe Włochy. Nareszcie Włochy się zjednoczyły, a burżuazya, zapominając o swych waśniach wewnętrznych, skupiła się naokoło tronu i uwielbia rząd, czuwający nad jej bezpieczeństwem i całością jej kas.

Zobaczymy, jaką była jej polityka i jaki użytek zrobiła ona z konstytucyi.

W ciągu więcej niż 20 lat w parlamencie włoskim nie było właściwych partyi politycznych. Głównem zadaniem tego czasu było przeprowadzić jednolite porządki w całych Włoszech i zdobyć Rzym. Na czele rządów stało stronnictwo prawicy, która miała większość parlamentu za sobą. Jedynymi przeciwnikami prawicy w parlamencie byli zwolennicy rewolucyjnego jenerała Garibaldiego, którzy chcieli na gwałt przyśpieszyć zjednoczenie Włoch i urządzali wyprawy rewolucyjne celem pochwycenia w swe ręce Rzymu albo zaczepienia Austryi. Chcieli oni w ten sposób zmusić rząd do wojny i szybszego połączenia Włoch. Było w parlamencie i paru klerykałów (zwolenników duchowieństwa), ale ci nie mieli żadnego znaczenia. Wreszcie republikanie z zasady nie brali udziału w polityce monarchicznej i w działalności parlamentu.

Nie wesołe wspomnienia pozostały ludowi włoskiemu z owych czasów rządów prawicy. Cierpiał on od gwałtów żołdackich, dokonywanych przy poborze do wojska albo pod pozorem tępienia bardzo wówczas rozpowszechnionych band rozbójniczych. Wysoki podatek od mielenia zboża wywoływał rozruchy, które tłumiono z niesłychanem okrucieństwem. Ziemie, należące do gmin, przywłaszczano na rzecz pojedyńczych spekulantów. Raz w raz słychać było o marnotrawieniu funduszów miejskich W Turynie w 1864 r. we krwi utopiono rozruchy ludowe; miasto Palermo dla poskromienia ludu bombardowano też w 1864 r. Na całej wielkiej wyspie Sycylii trzy razy ogłaszano stan oblężenia, a cztery czy pięć razy prawa wyjątkowe. To samo działo się w prowincyi Romanii. Wreszcie na wniosek garibaldyjczyka Krispiego (Crispi) uchwalono ogólne prawo, pozwalające wysyłać na osiedlenie pod dozór policyi wszystkie osoby „podejrzane“. Na mocy tego właśnie pięknego prawa do dziś wysyłają u nas na powolną śmierć na wyspach z zabójczym dla zdrowia klimatem — tysiące socyalistów anarchistów i republikanów.

Ale wszystkie te ładne rzeczy dotyczyły tylko ludu. Burżuazya zaś, klasa panująca nie mogła na rząd się uskarżać: dla niej to łupiono majątki kościelne i kasy rządowe państw przyłączonych w 1860 roku do Piemontu. Dla niej to stworzono dług państwowy, który wierzycielom państwa przez niespełna 10 lat przyniósł 1369 milionów franków procentu. Dla niej to oddano w pacht spekulantom ściąganie podatków. Dla niej to rząd ustąpił prywatnym towarzystwom monopol tytuniowy, zadawalniając się drobną częścią dochodów, obliczonych podług wpływów bieżących, i jeszcze drobniejszą częścią zysków, przewidywanych ze wzrostu zapotrzebowania na tytoń. By to prawo o monopolu tytuniowym przeprowadzić w parlamencie, rozdano posłom sześć milionów franków łapówek. Naturalnie prawo w ten sposób przeprowadzono.

Tu warto sobie przypomnieć głośne zajście z pułkownikiem i posłem do parlamentu — Lobbia, bo to zajście daje dobre pojęcie o włoskich porządkach politycznych. Wyciągnął on razu pewnego na światło dzienne w parlamencie przekupstwa i szachrajstwa, popełnione przez posłów i urzędników Cała szajka tych rabusi publicznego grosza zaczęła wrzeszczeć: „Daj na to dowody!“ — „Chcecie dowodów? oto one!“ — odpowiada Lobbia, rozkładając przed oczami izby poselskiej wielką tekę, którą miał w ręku. — „Złóż je pan w biurze parlamentu!“ — wołają znowu. — „Nie, bo je zniszczycie, jak zniszczyliście akty śledcze w sprawie nadużyć na kolejach południowych — odparł Lobbia. — Żądam wyznaczenia komisyi do odebrania tych dokumentów, komisyi, która by odpowiadała za ich całość, a złożę je tylko u rejenta i publicznie“. Rzekłszy to, Lobbia wyszedł z parlamentu. W przeddzień terminu, naznaczonego na złożenie dokumentów komisyi śledczej, na Lobbia napadli mordercy, którzy go usiłowali zakłóć sztyletami. Raniono go w głowę i w piersi, ale bronił się mężnie, i ta sama teka z dokumentami, którą nosił przy sobie, zasłoniła go od zabójczego ciosu w serce. W kilka dni potem niejaki Scott, świadek

napadu, umiera — jak powiadają — otruty, a sędziowie nie pozwalają odkopać jego zwłok dla dokonania sekcyi. Kobiety, zamieszkałe przy ulicy Armorino, gdzie się odbył napad, wystraszone, udają, że nic nie słyszały. Wreszcie Fabruzzi, jeden z oskarżonych o napad, ginie bez śladu i znajdują go utopionego w rzece Arno, a wspólnik jego ucieka do Ameryki. Przeciwko Lobbia rząd wnosi oskarżenie do sądu o ukartowanie zmyślonego napadu i skazują go na trzy lata więzienia. Przytem jeden prokurator — bardziej sumienny — nie chce się podjąć oskarżenia Lobbia i podaje się do dymisyi, ogłaszając przyczyny tego postępku swego; ale znajduje się inny, mniej skrupulatny prokurator, który za to szybko dostaje awans. Biedak Lobbia apeluje od wyroku, ale — odsyłany od Anasza do Kaifasza — umiera w więzieniu ze zgryzot na trzy dni przed ogłoszeniem przez najwyższy trybunał wyroku, ostatecznie stwierdzającego jego niewinność. W taki to sposób szajka rządzących Włochami zbrodniarzy zapewniała sobie bezkarność!

* * *

Po wcieleniu Rzymu do Włoch, to jest po odebraniu go papieżowi i zniszczeniu papieskiej władzy świeckiej (czego w sierpniu 1870 roku dokonał bardzo pobożny król Wiktor Emanuel), w parlamencie włoskim zaczyna się ukazywać partya przeciwna rządzącej prawicy — l e w i c a. Ale tu już z góry zaznaczymy, że w parlamencie włoskim nigdy nie było i do dziś niema politycznych partyi prawdziwych, to jest walczących w imię pewnego programu, w imię pewnych idei albo chociażby interesów s p o ł e c z n y c h. Były tu i są tylko gromadki członków parlamentu, łączących się w walce przeciwko rządowi lub w popieraniu rządu stosownie do wspólnych ambicyi, potrzeb, interesów czysto osobistych, prywatnych, jednostkowych. Łączą się one pod wodzą jakiegoś sprytniejszego szalbierza politycznego. Do dziś jedyny niemal wyjątek z tej zasady, prawie jedyną prawdziwą partyę polityczną, której przedstawiciele w parlamencie walczą wyłącznie w imię pewnego programu, pewnych idei, — stanowią socyaliści. Wracajmy jednak do 1870 roku.

Gdy król, rząd i parlament usadowili się w Rzymie, gdy w całych Włoszech zaprowadzono jednostajne porządki, w parlamencie — jak powiedzieliśmy — zaczyna żywiej ruszać się opozycyjna lewica. Składała się ona ze świeżo weszłych do parlamentu ludzi czynu, rewolucyjnych konstytucyonalistów i pogodzonych z monarchią byłych republikanów. Ludzie ci stworzyli Włochy zjednoczone, chcieli więc teraz ciągnąć zyski ze swego dzieła i oburzali się na prawicę, która wszystkie tłuste kąski zabrała dla siebie. Lewica wystawiła hasła postępowe: zniesienie podatku od mielenia zboża, rozszerzenie prawa wyborczego, reformy w administracyi.

W 1876 roku prawica poniosła przy wyborach porażkę, zaczęły się rządy radykalno liberalnego ministeryum lewicy. Czy trzeba dodawać, że rządy lewicy w niczem nie były lepsze od rządów jej poprzedniczki? Za rządów lewicy rozpoczęło się gwałcenie konstytucyi.

Artykuł 26 konstytucyi powiada „swoboda jednostki jest zapewniona“, artykuł zaś 27 zaręcza: „mieszkanie prywatne jest nietykalne“. Tymczasem za rządów lewicy policyanci, z poparciem ministra spraw wewnętrznych, zaczęli aresztować obywateli bez żadnego dekretu i rewidować ich mieszkania bez żadnego upoważnienia sądowego. Nawet bezpieczeństwo osobiste naruszono: od 1876 r. do roku ubiegłego mnóstwo było wypadków, że policyanci bili obywateli na śmierć, a w więzieniach torturami przyprawiali ich o waryacyę.

Artykuł 28 konstytucyi powiada: „prasa jest wolną, prawa karzą za jej nadużywanie“. Otóż profesor Sbarbaro kilkoma latami więzienia opłacił zbrodnię zwalczania wpływowych „mężów stanu“ za pomocą swych pism; a przeciwko socyalistycznym gazetom rząd prowadzi codzień zaciekłą wojnę, wypowiedział im walkę śmiertelną. Numer po numerze — są one konfiskowane (nieraz przed ogłoszeniem), redaktorowie odpowiedzialni są prześladowani, często więzieni albo i wysyłani pod dozór policyjny.

Pod dozór policyjny — na zsyłkę — wysyłają na mocy wyroku nie uzasadnionego, wydanego przez komisyę administracyjno-sądową, która sądzi podług wiadomości podawanych przez policyę. A jeśli skazanego w ten sposób nie aresztowano poprzednio, przed wyrokiem, to gdy wyrok nadszedł, budzą go w nocy ze snu, zabierają męża żonie, ojca dzieciom, odstawiają nieszczęśliwą ofiarę do więzienia a stamtąd wywożą na jakąś wyspę. Łatwiej sobie wyobrazić, niż wypowiedzieć, co tam cierpią ci ludzie w bezczynności przymusowej, oddaleni od życia cywilizowanego, odcięci od kraju, oddani pod tyrańską władzę najokrutniejszych siepaczy, i nie mający pojęcia, kiedy skończą się ich cierpienia; co cierpią ich żony i dzieci, pozbawione ich opieki, sieroty i wdowy za życia ojca i męża! Z tych wysp od czasu do czasu przychodzą do pism listy pisane krwią, wysyłane z narażeniem się na gorsze jeszcze prześladowania, a zawierające prawdziwe okrzyki boleści, rozdzierające serce opowiadania o gwałtach i okrucieństwach policyi. Opinia publiczna porusza się, a władza sądowa budzi się ze swego głębokiego snu. Wytaczają śledztwo, wszczynają proces, ale wkrótce wszystko to ucicha, a nowe zbrodnie policyjne każą zapomnieć o dawniejszych.

Wreszcie konstytucya uznaje prawo zebrań i stowarzyszeń, a kodeks karny — prawo strejku. Ale pomimo tego stowarzyszenia republikańskie i socyalistyczne są tuzinami rozwiązywane; zakazują wszelkich zebrań, czasami nawet poufnych; co zaś do strejkujących, to jeśli nie zastrzeli ich żołdactwo, wytaczają im proces zwykle o gwałcenie wolności pracy, to jest o zmuszanie innych gwałtem do strejku.

Wszystkie te ładne rzeczy zawdzięczamy rządom lewicy!

* * *

Ale koło 1876 r. od lewicy oddziela się pod wodzą Cavalotti'ego skrajna grupa garybaldyjczyków, która uznawała monarchię, lecz nie rzekła się nadziei na republikę. Grupa ta wzmaga się dzięki energicznie prowadzonej agitacyi o powszechne głosowanie. Istotnie w 1882

roku rozszerzono prawo wyborcze i dano głos pełnoletnim obywatelom płci męskiej, umiejącym czytać i pisać i płacącym przynajmniej 19 franków 80 centimów (7 rubli 90 kop.) podatku bezpośredniego lub 150 franków komornego rocznie. Po wyborach, dokonanych na podstawie rozszerzonego prawa wyborczego, grupa ta — tak zwana skrajna lewica — wzrosła i przybył do niej na razie jeden deputowany socyalistyczny.

Obecnie skrajna lewica składa się z 60 deputowanych (ogółem jest 508 deputowanych). Należy do niej 20 republikanów, 15 socyalistów i 25 radykałów.

Republikanie pierwotnie protestowali przeciwko monarchii w ten sposób, że nie brali żadnego udziału w wyborach do parlamentu. Ale po śmierci starego ich dowódzcy Mazziniego powoli uznali oni potrzebę walki parlamentarnej. Jednak partya ta nie stanowi jednolitej całości; powstają wśród niej częste kłótnie osobiste o to, kto ma być przywódcą partyi; a prócz tego dzieli się ona na dwa odłamy: jeden to wierni zwolennicy polityki zmarłego Mazziniego — stanowczy wrogowie socyalizmu, drugi obiecuje po wywalczeniu republiki pójść w ślady socyalistów.

Obok republikanów, ale daleko od nich zgodniejsi i bez porównania bardziej pewni siebie w działalności zarówno w parlamencie jak poza parlamentem – stoją socyaliści. Socyaliści skupiają się około redakcyi głównego organu partyjnego „Avanti!“ („Naprzód!“) i obecnie energicznie walczą o prawdziwe swobody konstytucyjne.

Wreszcie, jak powiedzieliśmy, do skrajnej lewicy należą radykali, kierowani przez śmiałego i mądrego deputowanego Sacchi.

Tak przedstawia się w parlamencie włoskim skrajna lewica, jedyna grupa, zasługująca na nazwę partyi politycznej, i jedyna grupa, która stanowi szczerą opozycyę względem rządu.

* * *

Jeżeli bowiem wrócimy do prawdziwych partyi burżuazyjnych w najgorszem znaczeniu tego słowa, to tam nie znajdziemy partyi, tylko osobiste koterye (grupy kierujące się prywatnymi interesami), powodowane czysto prywatnemi ambicyami.

Wśród lewicy widzimy przedewszystkiem grupę Zanardelli'ego, zajadle walczącą z duchowieństwem niby w imię swobody. Właśnie panu Zanardelli'emu mamy do zawdzięczenia nowy nasz kodeks karny. Kodeks ten karze jako zbrodnię nietylko czyn, groźbę, albo ustną lub piśmienną zniewagę, skierowane przeciwko panującemu lub urządzeniom państwowym, lub prawom, lub armii, lub czynom władzy, lub członkom parlamentu, lub wreszcie urzędnikom; karze on nawet usprawiedliwianie takich „zbrodni“. Można powiedzieć, że bardzo niewielu jest dziś czynnych socyalistów we Włoszech, którzy by kiedykolwiek nie byli ukarani na zasadzie tego kodeksu. Wystarcza to do scharakteryzowania p. Zanardelli'ego.

Druga grupa lewicy idzie pod wodzą Giolitti'ego. Jest to dusza prawdziwie czynownicza, ale śmielszy od innych w reformach

ekonomicznych, tak iż doszedł do uznania postępowego podatku dochodowego. Był on już prezydentem ministrów, ale upadł haniebnie po wykryciu szwindlów Banku Rzymskiego, w których był skompromitowany. W Anglii ten człowiek po takim skandalu byłby politycznie umarłym, we Włoszech nie będzie potrzebował zbyt długo czekać, by znowu wrócić do władzy.

Banda zwolenników Crispi'ego rozwiązała się. Część jej oddała się pod kierownictwo pana Fortis, byłego republikanina, bardzo sprytnego i ambitnego lisa. Pod względem ekonomicznym jest on dość postępowym. Druga część byłych krispińczyków uznała za swego wodza p. Baccelli, ongi klerykała, znanego lekarza. Jest to człowiek próżny i nadęty jak paw, a pod względem politycznym zupełne nic. Reszta tej bandy grupuje się naokoło p. Sonnino, zdolnego finansisty, ale człowieka o zapatrywaniach wręcz wstecznych.

Na prawicy widzimy głównych przywódców w osobach panów Rudini i Prinetti. Z nich Rudini — to haniebnej pamięci kierownik morderstw żołdackich, popełnianych na bezbronnej ludności zeszłego roku w Medyolanie. Prinetti zaś — zajadły wróg socyalizmu — jest wyobrazicielem i nadzieją przemysłowej burżuazyi północnych Włoch i przyjacielem klerykałów.

Ale przy głosowaniach nad kwestyami praktycznemi widzimy nieraz, że wszystkie te podziały na grupy partyjne nie mają żadnego poważnego znaczenia. Gdy chodzi o jakieś kwestye ceł na wyroby przemysłowe albo o opiekę nad rolnictwem, to przemysłowcy z lewicy i z prawicy z jednej strony, a właściciele ziemscy z drugiej łączą się i głosują nie podług swych grup, ale podług swego stanowiska społecznego. Tak samo przemysłowcy z lewicy i prawicy głosowali jednomyślnie przeciwko prawu o wypadkach przy pracy, a właściciele ziemscy za tem prawem. Za to przemysłowcy popierali prawo o podatku gruntowym, a szlagoni je zwalczali. Gdy chodzi o wydatki na armię i marynarkę, to deputowani północy Włoch i z miast nadmorskich są przeciwni, posłowie zaś z południa zawsze przychylni. Gdy chodzi o zgniecenie ruchu ludowego, to czterech na pięciu deputowanych je popiera; przeciwnie, gdy idzie o napiętnowanie łajdactw naprzykład Crispi'ego, to trzy ćwierci posłów opiera się temu.

Przy tem wszystkiem posłowie wszelkich grup burżuazyjnych starają się korzystać z każdej okazyi dla poparcia swych interesów prywatnych. Niemal każdego burżuazyjnego przeciwnika swego ministeryum, rządzące w danej chwili, może przejednać i pozyskać na swoją stronę. Wszak ministeryum jest źródłem wszelkich godności i wszelkich korzyści. Wybitnych przeciwników pozyskuje się za pomocą udzielania im stanowisk ambasadorów i t. p. Ale zwykle wystarcza poprostu — gotówka. To też nieraz, jak to było ze zmarłym ministrem Depretis'em, minister zbiera całe teki, pełne listów od posłów, którzy obiecują za pieniądze głosować podług życzenia ministra, albo żądają gotówki za głos już oddany. Po śmierci Depretis'a te listy stanowiły drogocenną część spadku po nim: wszak ten, kto by je posiadał, miałby w swem ręku dowody czarno na białem przeciwko

większości parlamentu i mógłby zmusić ją do posłuszeństwa. To też o papiery te toczyła się zajadła walka, aż wreszcie — jak powiadają — wdał się w to sam król, i zamknął je w swojem archiwum.

* * *

Na zakończenie — dodam ogólną uwagę o położeniu politycznem Włoch.

Prawa nasze są dość liberalne, dość postępowe. Ale cóż z tego? Od dwudziestu kilku lat rząd coraz bardziej dąży do zastępowania prawa przez dowolne rozporządzenia administracyjne. Dzieje się to za pomocą cyrkularzy ministeryalnych opacznie tłómaczących prawa albo wprost im przeciwnych. W ten sposób monarchia włoska usiłuje przedłużyć swe istnienie, ale w ten sposób też oburza ona na siebie coraz szersze masy ludności.

Dr. Alessandro Schiani.

POCZĄTKI SOCYALIZMU W NIEMCZECH.

Ogólne położenie przed 1848 r.

Wielka Rewolucya, która w końcu zeszłego wieku zburzyła we Francyi despotyzm królewski i panowanie szlachty, była zwiastunką lepszych czasów i dla Niemiec. Zaledwie wojska francuskie podbiły lewy brzeg Renu, gdy w okamgnieniu zniknęły tam: pańszczyzna, czynsze, wszelkiego rodzaju daniny na rzecz dziedziców, a chłop niemiecki z lewej strony Renu stał się panem swego kawałka ziemi. W miastach zwalono ograniczenia cechowe. Nad całą ziemią nadreńską powiał duch wolności. Porządki i prawa, zaprowadzone tu przez francuzów, utrzymały się do pewnego stopnia nawet po rozbiciu potęgi Napoleona, która upadła pod ciosami złączonych armii całej niemal Europy. Inaczej jednak było tam, gdzie francuzi nie ugruntowali swego panowania. Coprawda w całych Niemczech, rozdzielonych na mnóstwo państw i państewek, wielcy i drobni panujący śpieszyli z obietnicami swobód dla swoich poddanych, by ich zachęcić do walki z najazdem francuskim. Ale obietnice pozostały obietnicami, a gdzie pod grozą zwycięstw napoleońskich zaczęto zaprowadzać reformy, tam po zdruzgotaniu Francyi reformy cofano.

Tak gdy w bitwie pod Jena Napoleon pobił na głowę prusaków, to rząd pruski pośpieszył obdarzyć miasta pewnym samorządem; zarząd skarbu miejskiego, opieka nad ubogimi, szkoły, gdzieniegdzie nawet policya, przeszły do rąk mieszkańców. Po ostatecznem rozbiciu Napoleona (w bitwie pod Waterloo) zarządy miejskie znowu oddano pod kontrolę urzędników królewskich i z udziału w nich wykluczono uboższe warstwy ludności. Tak samo na wsi. Po Jena chłopów wprawdzie odrazu nie uwłaszczono, atoli uwolniono ich od poddaństwa. Nakazano przytem przeprowadzić uwłaszczenie i uwolnienie od pańszczyzny (chociaż na warunkach wysoce niekorzystnych dla chłopów).

Natomiast już w rok po Waterloo uwłaszczenie chłopów i znoszenie pańszczyzny zaczęto tamować i utrudniać. Wreszcie co do urządzeń politycznych, to obiecanki wolności prasy robiono jeszcze na dwa miesiące **przed** Waterloo, również mamiono lud niemiecki nadzieją zaprowadzenia rządów parlamentarnych itp. **Po** Waterloo zaś cenzura srożyła się w najlepsze; a to, co w niektórych państwach i państewkach niemieckich nosiło nazwę parlamentów, nie miało żadnego znaczenia: nie dość, że masy ludności w wyborach do owych parlamentów nie miały żadnego udziału; w dodatku panujący nic sobie z tych zgromadzeń deputowanych nie robili.

Na wsi — ciemnota; panowanie szlagonów, którzy w swych majątkach pełnili zarazem władzę sędziowską; jarzmo pańszczyzny prawie wcale nie złagodzone. W mieście — krępujące ograniczenia cechów, rządy urzędników królewskich. W całym kraju — samowola panujących, cenzura, brutalne rządy policyi. Tak wyglądały Niemcy po uwolnieniu się od najazdu francuskiego. Nieszczęśliwy to był naród, który od wroga obcego umiał się bronić tylko pod wodzą odwiecznych swych wrogów domowych, a zrzucając przemoc najazdu francuskiego wyzbył się zarazem i tych początków lepszego i wolniejszego ładu społecznego, jakie mu najazd bądź co bądź przynosił.

Żeby zrozumieć, dlaczego tak było, dlaczego naród niemiecki w wojnach napoleońskich wywalczył swobodę nie dla siebie, lecz dla swych ciemiężycieli, dlaczego dał się oszukać swym panującym, żeby to zrozumieć, dość jest przyjrzeć się klasom uprzywilejowanym tego narodu. Wyłącznie te bowiem klasy naówczas zajmowały się losami narodu, kierowały albo przynajmniej usiłowały lub chciały nimi kierować. Byli to przedewszystkiem junkrzy, to jest szlagoni niemieccy, dla których ma się rozumieć ówczesne Niemcy były poprostu rajem, a ówczesne rządy niemieckie — pokornemi sługami. Dalej widzimy pijawki wielko-kapitalistyczne: kupców i fabrykantów, wielkich przemysłowców nadreńskich itd. Ci panowie niezupełnie byli zadowoleni ze swego położenia, radzi by byli uszczuplić przemożnych wpływów junkrom i zrównać się z nimi w korzyściach panowania. Ale była to warstwa ludności młoda, jak młodym był niedawno powstały przemysł niemiecki; brakowało im poczucia swej siły. Brakowało im poczęści nawet większych ambicyi, bo ciemnota wśród tej warstwy świeżych dorobkiewiczów nie wszędzie znikła: wielu z najsprytniejszych szachrajów ledwie czytać i pisać umiało. Jak powiedzieliśmy, chęci rozszerzenia swych wpływów na rządy im nie brakło, ale brakło im chęci ponoszenia jakichkolwiek ofiar w tym celu i brakło pewności siebie.

Ruchliwszą częścią społeczeństwa niemieckiego byli drobnomieszczanie: drobniejsi kupcy i majstrowie, urzędnicy, wreszcie inteligencya: lekarze, adwokaci, profesorzy itp. Na te warstwy ludności Wielka Rewolucya Francuska wywarła znaczne wrażenie i wywołała wśród nich tu i owdzie nawet marzenia o zjednoczonej republice niemieckiej. Ale właśnie rozbicie Niemiec na mnóstwo drobnych państewek nie pozwalało na należyty rozwój świadomości politycznej w tej klasie. Drobnomieszczanin niemiecki wiedział wprawdzie o potężnych walkach

społecznych, wstrząsających Anglię i Francyę, ale wiedział o nich jako o czemś bardzo dalekiem, obcem i dziwnem; w życiu zaś codziennem przejmował się tylko sprawami drobnego księstewka, w którem los kazał mu się urodzić. Przytem uczeni i literaci niemieccy wywierali też niezbyt pożyteczny wpływ na drobnomieszczaństwo, a po części i na całe społeczeństwo niemieckie. Wszystkie wolnościowe prądy Anglii i Francyi wprawdzie znajdowały wśród pisarzy niemieckich żywy oddźwięk. Ale cenzura i despotyzm nie pozwalały im wypowiadać swych poglądów jawnie i otwarcie. Otóż zamiast walczyć z cenzurą literaci niemieccy sami do niej się dopasowali: nauczyli się o wszystkiem pisać bardzo ogólnikowo i niewyraźnie. Pisanie ogólnikowe nie pozwalało im zajmować się kwestyami praktycznemi, a pisanie niewyraźne doprowadziło do tego, że rozumieli ich tylko ludzie najbardziej wykształceni, ba, doprowadzało czasem do tego, że oni sami się nie rozumieli. Stąd literatura niemiecka była nieraz w gruncie rzeczy bardzo rewolucyjną, ale tej rewolucyjności nietylko cenzorzy, lecz i czytelnicy nie rozumieli. Ci zaś, którzy rozumieli głębokie filozofie niemieckie, tak się przez nie wdrożyli do bujania w obłokach, że do praktycznej roboty, do rzeczywistej walki byli już niezdatni.

Jedna młodzież uniwersytecka rwała się do czynu, ale młodzież ta, nie mająca pojęcia o życiu praktycznem i nie grająca żadnej w tem życiu roli, nie mogła poprowadzić społeczeństwa na inne tory.

Tak więc wśród uprzywilejowanych warstw społeczeństwa niemieckiego nie było żadnej, która by mogła samodzielnie porwać się do walki ze starym porządkiem. Postępowe, bardziej rewolucyjne żywioły czekały hasła, zachęty, przykładu, pomocy — z Francyi. Było to też oznaką poczucia własnej bezsilności.

W 1830 r. hasło z Francyi przyszło: w Paryżu wybuchła rewolucya i obaliła tron despotyczny. W Niemczech żywioły niezadowolone trochę się poruszyły, rządy potraciły odwagę, ale wkrótce znów wszystko się uspokoiło i wróciło do dawnych porządków. Było to jeszcze jednym dowodem, że uprzywilejowane warstwy społeczeństwa niemieckiego nie zdolne są wywalczyć wolności dla narodu, że trzeba oprzeć wszystkie nadzieje prawdziwej poprawy stosunków politycznych na warstwach pracujących, upośledzonych, wyzyskiwanych.

Oczywiście wśród klas pracujących nie można było wówczas brać w rachubę chłopstwa. Na wsi panowała zbyt wielka jeszcze ciemnota. Pozostawali zatem czeladnicy i robotnicy fabryczni — proletaryat miejski. Obalić despotyzm i zaprowadzić wolność w Niemczech mógł tylko — proletaryat. Zrozumiał to — między innymi — i wielki mistrz nasz, Karol Marks, gdy już w 1843 r. pisał: „Niewykonalną mrzonką dla Niemiec jest nie radykalna rewolucya, nie ogólno-ludzkie wyzwolenie (tj. nie rewolucya proletaryacka, socyalistyczna), lecz właśnie rewolucya częściowa, wyłącznie polityczna (tj. właśnie burżuazyjna).“

A zrozumieć to było tem łatwiej, że po 1830 r. burżuazya niemiecka zaczyna, spoglądając w stronę Francyi, coraz mniej wyczekiwać hasła rewolucyjnego, a coraz bardziej przejmować się obawą przed po-

ruszeniami rewolucyjnemi. Po 1830 r. we Francyi rozwija się literatura socyalistyczna, a w walkach barykadowych coraz wybitniejszy udział zaczynają brać robotnicy. Burżuazyę niemiecką ogarnia obawa o jej kieszenie. Nie załatwiwszy się ani z junkrami ani z despotyzmem, wielcy i drobni kapitaliści niemieccy już zaczynają się bać proletaryatu. Ruch robotniczy po 1830 roku wszczyna się i w Niemczech.

Rozruchy — Tajne towarzystwa — Weitling.

Jak wszędzie, tak i tu pierwsze objawy ruchu proletaryackiego są poprostu wybuchami rozpaczy, nieobmyślanymi i pozbawionymi wszelkiego planu. Takim był bunt tkaczy na Szląsku w Peterswaldau i Langenbielau w czerwcu 1844 r. Ci nieszczęśliwi, napółumierający z głodu, bo ciężka praca nie zapewniała im nawet kartofli do życia, rzucili się na dom wyzyskiwacza Zwanzigera i zniszczyli go do szczętu. Szli potem od jednego fabrykanta do drugiego, ale oszczędzali fabrykantów mniej bezlitośnych w wyzyskiwaniu. Dawali się udobruchać nawet datkiem kilku fenigów, chleba i słoniny. Ma się rozumieć w końcu zostali rozpędzeni przez wojsko, które przy pierwszem spotkaniu się 11 robotników zabiło, a 24 śmiertelnie raniło. 83 robotników sąd potem skazał na ciężkie kary, dochodzące do 10 lat ciężkich robót i 24 uderzeń knutem. Ten właśnie bunt opisany jest we wspaniałym dramacie Hauptmana: „Tkacze". Ale buntów takich było przed 1848 r. mnóstwo, i wszystkie musiały spełznąć na niczem, bo brakło im określonego celu i planu działalności.

Świadomy ruch wśród robotników niemieckich zaczął się na emigracyi. Nędza i prześladowania polityczne pędziły robotników niemieckich rok rocznie tysiącami na obczyznę. Między 1830 a 1840 rokiem 150, a między 1840 a 1850 r. około 450 tysięcy niemców wywędrowało do Ameryki. Ale znaczne — chociaż nie tak wielkie — masy zatrzymywały się bliżej: w Szwajcaryi, Anglii i Francyi. W Szwajcaryi spotkali się wychodzcy niemieccy z polityczną emigracyą polską i włoską, cierpiącą również od ucisku rządów niemieckich; we Francyi stykał się czeladnik niemiecki z tamtejszym ruchem rewolucyjnym i socyalistycznym; w Anglii też podówczas wrzał potężny ruch robotniczy czartystów. Ale stolicą ówczesnego międzynarodowego ruchu rewolucyjnego był — Paryż. Tam też powstało pierwsze tajne stowarzyszenie wychodzców niemieckich: „Związek Prześladowanych" (w 1834 r.). Składał się on jeszcze z bardzo różnobarwnych żywiołów: zwyczajnych demokratów burżuazyjnych i ludzi, którzy już rozumieli odrębność interesów klasy robotniczej. Jednak większość, kilkuset członków związku, byli to czeladnicy wędrowni. Głównie ci to czeladnicy, wracając do kraju, szerzyli „Związek" w Niemczech, a dzięki temu oni też rej w „Związku" wiedli. Policya prędko zwróciła na to uwagę, i rząd niemiecki polecił czeladnikom, poddanym niemieckim, opuścić Paryż. Ma się rozumieć, rozkaz taki niewiele pomógł. A wkrótce taki sam rozkaz i również bez skutku zabronił czeladnikom i studentom niemieckim pobytu w Szwajcaryi, i w Szwajcaryi bowiem wy-

tworzył się tajny związek emigrantów pod nazwą „Młode Niemcy“. Związkiem „Młodych Niemiec“ kierowali jednak głównie studenci, i w działalności tego stowarzyszenia nie widać śladów zrozumienia osobnych klasowych interesów proletaryatu.

Koło 1836 r. rząd szwajcarski musiał ustąpić naleganiom rządów niemieckich, wydalił przywódców „Młodych Niemiec“ ze Szwajcaryi i rozwiązał niemieckie stowarzyszenia czeladnicze. W tym samym czasie „Związek Prześladowanych“ rozpadł się i — oto z lepszych jednostek „Młodych Niemiec“ i z rewolucyjnych proletaryuszy „Związku Prześladowanych“ utworzył się w 1836 r. nowy „Związek Sprawiedliwych“. Najwybitniejszym z przywódców nowego „Związku“ był czeladnik krawiecki Wilhelm Weitling.

Weitling był to człowiek prawdziwie genialny. W trzech głównych jego dziełach („Gwarancya harmonii i wolności“, „Jaką jest ludzkość i jaką być powinna?“ i „Ewangelia biednego grzesznika“) spotykamy mnóstwo rzeczy ciekawych. Ale w praktyce niewiele z jego poglądów miało znaczenie. Co przedewszystkiem było ważnem, to dążenie do socyalizmu, do społecznej własności. W wyznaniu wiary, które musiał składać każdy wstępujący do „Związku Sprawiedliwych“, było: „chcemy sami być wolni i chcemy, żeby wszyscy ludzie na kuli ziemskiej byli również wolni, żeby nikt nie był wywyższony ani upośledzony, lecz żeby wszyscy dzielili się trudami, pracą rozkoszą i przyjemnościami, tj. żeby żyli we wspólności“. Przytem Weitling wskazywał nieraz jedyny ratunek dla klas upośledzonych w walce i rewolucyi oraz rozumiał doniosłość swobody politycznej. To były zalety propagandy prowadzonej przez Weitlinga i jego towarzyszy.

Ale nie brakło i wad. Przedewszystkiem nie bardzo jest wyraźnem już samo dążenie do wspólnej własności: często nie wiadomo, czy Weitlingowi chodzi o wspólność owoców pracy, o braterski podział, jaki dziś istnieje w rodzinie lub wśród grona wspólnie żyjących przyjaciół, czy też o tę wspólną własność, do której dążą dzisiejsze partye socyalistyczne: to jest o narodową własność ziemi i narzędzi pracy i o społeczny kierunek wytwarzania. Dalej „Związek Prześladowanych“ propagował coprawda potrzebę walki i rewolucyi, ale nie rozumiał tego, że właśnie dopiero w walce proletaryat należycie się oświeca i staje zdolnym do kierowania społeczeństwem. Dlatego też na razie ograniczano się jedynie propagandą ogólnych zasad socyalizmu i rewolucyi, a nie brano żadnego udziału w walkach codziennych o polepszenie losu pracujących i o większą swobodę. Nie dość tego: żadne kwestye szczegółowe, bieżące nic nie obchodziły Weitlinga: twierdził on, że swoboda polityczna na nic się nie zda klasie pracującej, dopóki będzie istniała prywatna własność; nie rozumiał potrzeby zjednoczenia Niemiec w jedno państwo itp. Zato „Związek Sprawiedliwych“ przywiązywał zbyt wielką wagę do rzeczy stosunkowo drobnych jak np. do spółkowych garkuchni robotniczych. Garkuchnie te miały uczyć robotników wspólnej gospodarki. Ma się rozumieć jednak, że wspólne jadanie niewiele pomagało robotnikom w zrozumieniu, czego potrzeba społeczeństwu, chociaż niewątpliwie częste spotykanie się w je·

dnej jadłodajni i wspólny interes w niej wzmacniały węzły, łączące związkowych i pomagały im w propagandzie.

Bądź co bądź 11 lat ruchu, prowadzonego przez Weitlinga i towarzyszy w tajnym „Związku Sprawiedliwych“ zrobiły swoje. Dzięki wielkiej ofiarności związkowych, książki i broszury Weitlinga rozchodziły się po całej emigracyi niemieckiej i w Niemczech samych. Wbrew prześladowaniom rządowym szerzyła się świadomość odrębnych interesów robotniczych i potrzeby rewolucyi. W „Związku“ wykształciło się mnóstwo ludzi, których potem spotykamy w pierwszych szeregach ruchu. Ale też jednocześnie z postępami „Związku“ rosło zrozumienie wad w jego działalności, braków, na które już wskazywaliśmy. Trzeba było poprawić zasady, na których się opierała robota „Związku“, lecz dotychczasowy kierownik — Weitling — nie mógł temu zadaniu podołać. Przeciwnie, w skutek przecierpianych prześladowań zaczął on patrzeć na siebie jak na nowego Mesyasza, nadawać swej osobistości przesadne znaczenie. „Związek“ powinien był z dotychczasowego towarzystwa propagandy stać się żywą walczącą partyą polityczną. Tymczasem pod wodzą Weitlinga mógł się on stać sektą, religijnie wielbiącą w nim nowego mesyasza. To też energiczniejsi członkowie „Związku“ w końcu 1846 roku zwrócili się po wskazówki gdzieindziej: do Marksa i Engelsa.

Związek Komunistów — Marks i Engels.

Karol Marks dał się poznać robotnikom i rewolucyonistom niemieckim już znacznie wcześniej w 1841 i 1842 r. swymi artykułami w „Gazecie Reńskiej“, artykułami śmiałymi i pełnymi współczucia dla cierpień i walk proletaryatu. Właściwym socyalistą stał się on w Paryżu, w 1843 r. Fryderyk Engels zapoznał się z ruchem robotniczym w Anglii. W 1846 roku obaj byli w Brukseli (stolicy Belgii) i działali w tamtejszem „Międzynarodowem Towarzystwie Demokratycznem“ i w niemieckiem „Towarzystwie Robotniczem“. Do „Związku Sprawiedliwych“ oni nie należeli, ale stale korespondowali i porozumiewali się z londyńskimi członkami „Związku“. Za tych to właśnie namową Marks i Engels w 1846 r. przystąpili do „Związku“ na to, by „Związek“ zreformować. Rzeczywiście latem 1848 r. w Londynie odbył się zjazd „Związku“, w którym wziął udział Engels. „Związek“ przekształcił się zupełnie.

Zmiany zaczęły się od nazwy. Odtąd „Związek Sprawiedliwych“ przybrał daleko wyraźniejszą nazwę — „Związek Komunistów“ (komunistami nazywano rewolucyjnych socyalistów). Przyjęto również nową ustawę, która za cel działania „Związku Komunistów“ ogłaszała: „Obalenie ustroju burżuazyjnego, rządy proletaryatu, zniesienie starego społeczeństwa opartego na przeciwieństwach klasowych i założenie nowego społeczeństwa bez klas i bez własności prywatnej“. Podstawą organizacyi „Związku“ były gminy, z których każda składała się co najmniej z 3, a co najwyżej z 20 członków. Co najmniej 2, a co najwyżej 10 gmin stanowiło koło. Koła jednego kraju albo jednego miasta stały pod kierunkiem „koła zarządzającego“, które ze swej strony ko-

munikowało się z zarządem centralnym. Zarząd centralnybył od powiedzialnym przed zjazdem delegowanych przez koła Związku. Zjazd miał odbywać się co roku. Każdy członek Związku obowiązany był płacić oznaczoną przez zjazd wkładkę miesięczną; połowa dochodów ze składek szła do kasy centralnego zarządu, połowę zaś obracano na potrzeby miejscowe gminy albo koła. Organizacya Związku pozostała po dawnemu tajną, ale dążono do jak najszerszej działalności publicznej. Na razie działalność członków polegała przedewszystkiem na zakładaniu jawnych robotniczych towarzystw kształcących. Towarzystwa takie zbierały się dwa razy tygodniowo i jeden wieczór poświęcano dyskusyi, omawianiu spraw naukowych, społecznych i politycznych, a drugi wieczór — zabawie, śpiewom i deklamacyi. Zakładano przy tem biblioteki i — o ile to było możliwem — urządzano wykłady nauk elementarnych dla robotników. Robotnicy niemieccy na emigracyi tłumnie pogarnęli się do takich towarzystw, a „Związek" w nich werbował co lepsze jednostki do tajnej organizacyi. Wędrowni czeladnicy szerzyli zasady „Związku" i w kraju samym, czasami zaś wysyłano specyalnych tajnych agitatorów (emisaryuszy). Koło 1848 r. Związek liczył paręset członków.

W lutym 1848 roku wyszedł z druku sławny „Manifest komunistyczny", w którym Marks i Engels wyłożyli obszerniej zasady Związku. Opowiadać tu treści Manifestu komunistycznego nie będziemy; kto jej nie zna, niech przeczyta sobie w polskim przekładzie. Zwrócimy tu uwagę tylko na jeden ustęp tej książki: „Niemcy znajdują się w przededniu rewolucyi burżuazyjnej" — powiada „Manifest" i poleca komunistom popierać tę rewolucyę burżuazyjną na to, by dopiero *po* zwycięstwie burżuazyi podnieść sztandar nowej „rewolucyi proletaryatu". Widzimy tu sprzeczność ze zdaniem Marksa w 1843 r., które poprzednio podaliśmy.

Rok 1848.

Otóż istotnie Manifest był pisany w przededniu zawieruchy rewolucyjnej, która w 1848 r. objęła i Niemcy, a w „Manifeście" zawieruchę tę przepowiedziano proroczo. Atoli pod „rewolucyą burżuazyjną" Marks w 1843 r. rozumiał taką rewolucyę jak francuska 1789 r., gdy burżuazya wychodząc ze swego klasowego stanowiska, to jest działając dla swoich potrzeb klasowych, materyalnych, wyzwala jednak całe społeczeństwo z ucisku starych porządków. Taką rewolucyą zawierucha 1848 r. w Niemczech nie była. Burżuazya niemiecka zadowolniła się zapewnieniem korzyści materyalnych dla siebie, a nic nie zrobiła dla zniesienia despotyzmu, dla usunięcia samowoli policyjnej, które do dziś w tym kraju panują. Mógł to zrobić tylko proletaryat. Ale i proletaryat niemiecki też dowiódł w 1848 r., że nie potrafi jeszcze chwycić cugli rewolucyi, losów całego narodu we własne ręce. Rewolucya 1848 r. przyszła w Niemczech dla burżuazyi zapóźno, dla proletaryatu — zawcześnie.

Co do „Związku Komunistów", to działalność jego, jako organiacyi, w 1848 r. zupełnie ustała. Członkowie „Związku" pojedyńczo

albo gromadkami rozsypali się po całych Niemczech i wzięli czynny udział w walce, stając wszędzie na czele rewolucyjnego proletaryatu. Ma się rozumieć, że w ten sposób działalność komunistów straciła wiele : każdy robił na swoją rękę bez żadnego ogólnego planu. Ale nic w tem dziwnego, bo młoda organizacya komunistyczna przed rewolucyą nie miała czasu zaprawić się do walki czynnej i pochłonięta była propagandą ogólnych zasad. Do takiej zaś propagandy 1848 r. nie był odpowiednią porą, a wobec tego i organizacya, do niej wyłącznie wdrożona, rozluźniła się.

Marks i Engels udali się do prowincyi nadreńskiej, do miasta Kolonii, gdzie Marks objął redakcyę „Nowej Gazety Reńskiej“. Było to najlepsze pismo rewolucyi niemieckiej. Dzień po dniu Marks piętnował w niem zdrady burżuazyi, zachęcał do walki, wskazywał na znaczenie bieżących wypadków, wzywał do solidarności z walczącymi w Paryżu robotnikami i wyjaśniał, że dla wolności Niemiec i całej Europy koniecznem jest odbudowanie silnej i niepodległej republiki polskiej. Marks i otaczający go członkowie „Związku Komunistów“ przez długi czas usiłowali w Kolonii — „popierać rewolucyę burżuazyjną“, jak to zalecał „Manifest“. Sam Marks stał na czele drobnomieszczańskiego „Towarzystwa Demokratycznego“. Engels ułożył petycyę ludności kolońskiej, wzywającą tchórzliwe burżuazyjne Zgromadzenie Narodowe berlińskie do oporu rządowi pruskiemu, który zabierał się już do rozpędzenia tego parlamentu. W listopadzie 1848 r. Marks w obronie tego samego parlamentu przeciwko rządowi agitował za niepłaceniem podatków i organizował czynny opór władzom i t. d. Im dalej jednak szły wypadki, tem bardziej się okazywało, że w „burżuazyjnej rewolucyi“ nietylko ręce proletaryatu mają broń nosić, nietylko proletaryat ma pierś swą nadstawiać, ale i cały kierunek do wodzów proletaryatu musi należyć. Od burżuazyi spotykała rewolucyę na każdym kroku tylko zdrada. To też 14 kwietnia 1849 r. Marks razem z kolegami i całym „Nadreńskim Związkiem Robotniczym“ wystąpili z ogólnej organizacyi demokratycznej. Rozpoczęto zato więcej krzątać się koło czysto-robotniczej organizacyi. „Nowa Gazeta Reńska“ też jaskrawiej zaczęła zaznaczać swe stanowisko socyalistyczne. Ale już było zapóźno : rewolucya konała. Bądź co bądź wszakże w prowincyi nadreńskiej — dzięki żywiołom proletaryackim - rząd pruski miał twardy orzech do zgryzienia.

Drugie ognisko żywszego ruchu robotniczego w 1848 r. wytworzyło się w najważniejszem dla rewolucyi mieście — w Berlinie. Tu kierunek objął Stefan Born, zecer, również członek „Związku Komunistów“.

Już sam początek rewolucyi w Berlinie dali robotnicy. Na wieść o wybuchu ludowym w Paryżu burżuazya pruska coprawda udała się do króla, ale nie z groźnemi żądaniami, lecz z prośbą. Otrzymała obietnicę, że nie mający żadnego znaczenia sejm pruski będzie zwołany w końcu kwietnia, i że rząd pomyśli o ulgach dla prasy i o krokach celem większego zjednoczenia Niemiec. Te obiecanki wystarczyły na zadowolenie warstw posiadających. Ale proletaryat zbierał się w dalszym ciągu przed wrotami miejskiemi i na wielkich zgromadzeniach

stawiał żądania swobód politycznych i opieki nad pracą. Wynikały stąd ciągłe utarczki z wojskiem, które prędko zaczęło bić i rąbać nietylko buntowniczych robotników, ale i spokojnych mieszczuchów. Wywołało to powszechne oburzenie, a wieść o rewolucyi, wybuchłej w Wiedniu, dolała oliwy do ognia i doprowadziła do starcia z wojskiem — 18 marca, do wybuchu i w Berlinie.

Rewolucya wymogła na razie „uzbrojenie ludu", to jest zaprowadzenie milicyi, tak zwanej „gwardyi mieszczańskiej". Burżuazya odrazu z tej gwardyi zrobiła wojsko przeciwko proletaryatowi. Z gwardyi mieszczańskiej prawie zupełnie wykluczono robotników i nie dano im broni. Ledwie zdobyto wolność prasy — wnet burżuazya zaczęła denuncyować prasę robotniczą. Wreszcie zaledwie w tydzień po rewolucyi burżuazya podała petycyę o sprowadzenie wojska napowrót do Berlina : wolała znosić sąsiedztwo najniebezpieczniejszej siły despotyzmu, niż zostać sam na sam z robotnikami. Tych parę faktów wystarcza, jako próbka postępowania burżuazyi w Berlinie : taką samą była ona w całych Niemczech : wszędzie zaledwie osłabiwszy trochę potęgę tronów, wnet je napowrót wzmacniała i uciekała pod ich ochronę przed urojonem niebezpieczeństwem ze strony proletaryatu.

Niebezpieczeństwo było tylko urojonem, bo robotnicy niemieccy nigdzie nie myśleli o zajęciu samym miejsca u steru rządów, o zrzuceniu burżuazyi z tego stanowiska. Jednak i w Berlinie powstała osobna organizacya robotnicza. Już 19 kwietnia 1848 r. z delegatów towarzystw robotniczych oraz poszczególnych fachów i fabryk utworzył się berliński centralny komitet robotniczy, pod przewodnictwem Borna. Dnia 23 sierpnia zebrał się w Berlinie kongres z przedstawicieli 35 związków robotniczych w różnych miastach. Na tym kongresie założono pierwszą ogólno niemiecką organizacyę robotniczą pod nazwą „Braterstwo Robotnicze". Organizacya „Braterstwa" polegała przedewszystkiem na miejscowych komitetach robotniczych, do których wchodzili przedstawiciele różnych fachów ; dalej szły komitety okręgowe i wreszcie komitet centralny. Born był jednym z trzech członków komitetu centralnego i redaktorem jego organu, który założono również pod nazwą „Braterstwo".

Pod gorącem tchnieniem wichru rewolucyjnego nowa organizacya szybko rosła. Już na kongresie przy zakładaniu organizacyi utworzono komitety powiatowe w 26 miastach. Działalność „Braterstwa" szła w obu kierunkach walki proletaryackiej : ekonomicznym i politycznym. Rok 1848 obfitował w strejki : w samym Berlinie odbyło się kilkadziesiąt strejków. Otóż „Braterstwo" kierowało i popierało wszystkie te utarczki z kapitałem. W kierunku zaś politycznym „Braterstwo", tak samo jak Marks, jak cały proletaryat niemiecki, ograniczało się popieraniem „rewolucyi burżuazyjnej". D. 10 listopada 1848 r., gdy rząd pruski już wyraźnie oświadczył chęć rozpędzenia parlamentu i obrócenia takim sposobem wniwecz wszystkich zdobyczy rewolucyi, berliński komitet miejscowy „Braterstwa" zgłosił się do parlamentu, ofiarując mu zbrojną pomoc i opiekę robotników. Parlament odpowiedział, że nie chce rozlewu krwi! W tym samym czasie

centralny komitet „Braterstwa“ wezwał wszystkie komitety powiatowe i miejscowe do starań o uzbrojenie robotników. A komitety te nie ograniczyły się działalnością w miastach, lecz w wielu okolicach przeniosły agitacyę i na wieś.

I w ostatniej śmiertelnej walce rewolucyi z powracającym do sił despotyzmem, w powstaniach 1849 r, socyaliści odgrywają zaszczytną rolę. Już w pierwszem takiem powstaniu — majowem w Dreznie — kierunek walki objął Born do współki ze sławnym później anarchistą rosyjskim Bakuninem. W Badeńskiem, gdzie główne dowództwo powstania należało do rewolucyonisty polskiego Mierosławskiego, walczyli z bronią w ręku Engels, Willich, Liebknecht i wielu członków „Związku komunistów“ — wszędzie na najniebezpieczniejszych posterunkach.

Ale już przypieczętowane były losy rewolucyi. Despotyzm zwyciężył. Organizacye „Braterstwa“ trwały jeszcze jakiś czas, prześladowane i krępowane na każdym kroku. Wreszcie, gdy zupełnie zabrakło energiczniejszych kierowników, straciły one charakter socyalistyczny. Ale i to ich nie uchroniło od zagłady. W 1854 roku rząd niemiecki rozwiązał wszystkie stowarzyszenia robotnicze. Jeszcze prędzej, w skutek sporów wewnętrznych, zakończył swój żywot „Związek Komunistów“ na emigracyi.

W taki sposób przeszła burza rewolucyjna 1848 r. i minęła sposobność, przy której klasa robotnicza w Niemczech mogła ująć ster władzy w swoje ręce. Ale czy istotnie mogła to wtedy uczynić? Otóż przyglądając się uważniej działalności komunistów w 1848 roku, widzimy, że tylko Marks i jego koledzy z „Nowej Reńskiej Gazety“ rozumieli wszystkie sprawy, obchodzące naród w 1848 r., tylko oni też widzieli dokładnie wszystkie zdrady burżuazyi. Inni — nie wyjmując nawet Borna — szli za burżuazyą ślepo, chociaż rozumieli odrębne interesy proletaryatu. Powiemy inaczej: rozumieli oni sprawy, obchodzące wyłącznie klasę robotniczą, ale sprawy, tyczące się ogółu narodu, zostawiali burżuazyi. Tak naprzykład kongres robotniczy, o którym mówiliśmy, zajmował się mnóstwem ekonomicznych interesów robotniczych. Było to zapewne bardzo dobre i ważne, ale w owej chwili ważniejszą była sprawa polityczna: urządzenie zjednoczonego państwa niemieckiego, a tem kongres wcale głowy sobie nie zaprzątał.

Swoją drogą jednak proletaryat niemiecki nie stracił, lecz zyskał na tem, że pchał burżuazyę do steru władzy, gdy sam poczuwał się jeszcze niedojrzałym do ujęcia w swe ręce rządów państwa. Albowiem w rewolucyi 48 r. odbył on pierwszą szkołę praktycznej walki, wychował sobie pod deszczem kul pokolenie przyszłych wodzów i namacalnie przekonał się o nikczemności i niedołęstwie burżuazyi. Dzięki zachowaniu się burżuazyi w 1848 r., w Niemczech najwcześniej powstała i do dziś najpotężniej się rozwija samodzielna robotnicza partya socyalistyczna.

B. A. J.